

Wież ilustrowana

Czerwiec 1912





„J. SOSNOWSKI”

wł. C. LISOWSKI

WARSZAWA, Trębacka Nr 9. Telefonu Nr 47-47.

poleca wielki wybór DUBELTÓWEK — fabryk:

WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London; W. W. GREENER, London; G. DEFOURNY-
SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Liège

SZTUCERY: J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA,
WINCHESTRA, FRANCOTTA i innych

..... Cenniki na żądanie.

MEBLE wszelkich stylów i epok

na składzie

Całkowite urządzenia mieszkań

LUDWIK ORTHWEIN

**WARSZAWA,
Mazowiecka 2.
Telefonu Nr 34-59.**

G. G. Lardelli

CUKIERNIA i Szwajcarska Fabryka Czekolady ULICA POLNA Nr 20 — 22.

w **WARSZAWIE FILJE:** Boduena 5, Nowy-Świat 27, Marszałkowska 87, Bagatela 3. w **ŁODZI:** Piotrkowska 100.

FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI

Aleksander Feist

Warszawa

Fabryka i kantor, Wolska 12, tel. 60-86.

Magazyn, ul. Senatorska 24, tel. 33-39.

EGZYSTUJE PRZESZŁO 100 LAT.

11 medali złotych i srebrnych wyłącznie
z wystaw państwowych.
DYPLOM ZASŁUGI.



Hotel „SAVOY”

w Warszawie

!CENTRUM MIASTA!

Posiada komfortowe pokoje, windy,
światło elektryczne, ogrzewanie

oraz

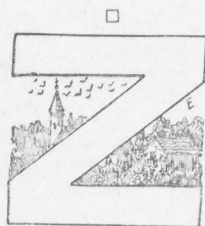
PIERWSZORZĘDĄ RESTAURACJĘ.

Wies' ilustrowana



Konkursy hipiczne. Łoża prezydjum, pp. A. hr. Wielopolski, S. A. hr. Potocki, J. hr. Tarnowski, F. Jurjewicz
(zakł. fot. „Saryusz-Wolski“).

MIESIĄC SPORTOWY.

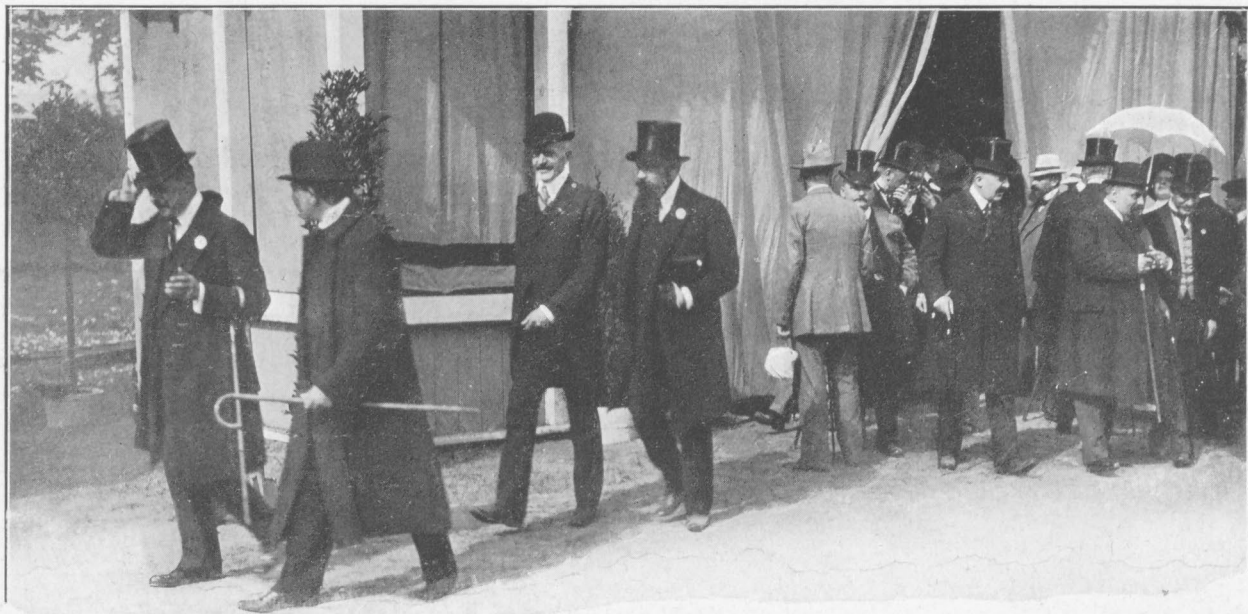


Życie Warszawy; tego ogniska w którym zbiegają się wszystkie całego kraju puls, tak się od pewnego, dawnego zresztą już czasu w kolei miesięcy i pór roku układa, że okres od połowy maja do połowy czerwca bywa zwykle „miesiącem sportowym“ w roku.

Jak zwykle, tak i w tym roku w program tego okresu wchodzić prócz głównych dni wyścigowego sezonu na Mokotowskim polu, matche footballowe młodzieży, popisy jej gimnastyczne, wyścigi cyklistów, regaty wioślarzy, konkursy hipiczne, wystawa psów.

Sezon tegoroczny nadto tem większego nabiera znaczenia, że pod koniec maja nastąpiło otwar-

cie pierwszej w kraju wystawy sportowo-przemysłowej na terenie Warszawskiego Koła Sportowego w uroczym parku Agrykola. Odkładając z technicznych względów sprawozdanie szczegółowe z tej wystawy do następnego numeru, pragniemy zaznaczyć, że spotęgowała ona w wysokim stopniu interes tego okresu, który „sportowym miesiącem“ nazwalibyśmy. Sport stoi u nas już rzeczywiście na tym poziomie, który potrzebuje przede wszystkim ogólnego zorientowania się jego zwolenników i wyznawców w obecnym rozwoju i w rezultatach pracy prowadzonej przez sportowe stowarzyszenia. Jako źródło zdrowej fizycznej siły i jako sposób stałego utrzymywania, kształcenia i wzrostu jej staje się ten sport coraz ważniejszym czynnikiem życia, którego roli w społeczeństwie za mało dziś odpornem



Wystawa Sportowo-Przemysłowa na Agrikoli. Prasa warszawska i komitet (zakł. fot. „Saryusz-Wolski“).

nie można już niedoceniać i zaniedbywać. Wystawa sportowa zatem, która dorobek nasz na tem polu szereguje i plastycznie przedstawia, jest bardzo na czasie. Podkreśla ona i naocznie wykazuje sumę tych korzyści, jakie społeczeństwo osiągnąć może przez rozumne, celowe stosowanie sportu do wychowania młodzieży i przez dostarczenie tylu starszym zdrowym jednostkom rozrywki ćwiczącej i kształcącej ich siły, odciągającej nadto niejednego od innych, w naszych społecznych warunkach często anormalnych sposobów przepędzania wolnego czasu.

Poza tem nie wolno nam jeszcze zapominać o innych z rozwojem sportu ściśle związanych, bardzo realnych i ekonomicznie ważnych okolicznościach. Sport, jak każda inna dziedzina realnego ruchu, wytworzył już i u nas pewien przemysł specjalny, stał się zatem realną wartością w dziale handlu i wytwórczości krajowej. Posiadamy już sporo firm handlowych operujących sportowymi artykułami, posiadamy już i warsztaty, zajmujące się fabryczną tych artykułów produkcją. Przegląd tej produkcji właśnie i tego handlu w zestawieniu z praktykowanymi i rozwiniętymi już u nas rodzajami sportu może i powinien wykazać co w tym kierunku jeszcze można u nas zrobić, by dotychczasowy import zagranicznych produktów krajowym wyrobem zastąpić.

Z powyżej przytoczonych względów obecny „sportowy miesiąc warszawski“ posiada właśnie interes ogólny i staje na stanowisku praktycznym. Minęły już i chyba nie wrócą czasy, kiedy to sport był przywilejem wyłącznym klas zamożniejszych. Dziś stał on się takim samym prawem wszystkich jak

nauka, zdrowie i siła. Praktyczny jego rozwój zapewnia każdemu chętnemu do fizycznych ćwiczeń człowiekowi możliwość korzystania z nich w sposób dowolnie przystosowany do jego środków i indywidualnych usposobień.

I jeszcze jedno.

Byliśmy zawsze narodem rycerskim i sława w tym kierunku uzyskana każdemu Polakowi zawsze była drogą. To jeden więcej tytuł i powód, abyśmy dziś nie lekceważyli tego, co tę tradycję wskrzesza i utrzymuje.

Ludzie silni prawie zawsze bywają — dobrzy!..



P. Fr. Karpiński. Hr. S. A. Potocka. p. St. Krzywogzowski.
Od pawilonu do pawilonu.
red. „Swiata“.
(zakł. fot. „Saryusz-Wolski“).



„Wieś“ na konkursach hipicznych (zakł. fot. „Saryusz-Wolski”).

WIEŚ I SPORT.

S tosunek między temi dwoma dziedzinami życia zawsze, od samego początku ciepły był i serdeczny.

Cała fizyczna polska tężyzna wyszła z ziemi, ze wsi. Tam, na tej wsi miała ona swoje niewyczerpane źródło sił i zasobów żywności, tam też znajdowała zawsze dla siebie najpodatniejszy do rozwoju swobodnego teren. Genezą dzisiejszego sportu, poprzednią, ewolucyjną jego fazą, były ćwiczenia rycerskie. Niektóre z nich—jak łowy, brały początek z najdawniejszych, pierwotnych form walki o byt człowieka i z zabiegów jego o sposoby utrzymania życia. Polowano, by zdobyć pożywienie i okrycie dla nagiego ciała, oraz sposób ulepszania pierwotnych łowieckich narzędzi, t. j. broni. Przemysłowość człowieka dążyła naturalnie stale w tym kierunku naprzód i ulepszywszy już broń, uznała potrzebę ćwiczenia się w jej użyciu — bądź przeciwko dzikiemu zwierzęciu, bądź przeciwko ludziom z którymi powstawały zatargi. Były więc ćwiczenia łowieckie i ćwiczenia orężne, wojenne. Z początku oddawali im się ludzie bez różnicy stanów, bo różnic prawie nie było. Skoro jednak powstały one, przywilej noszenia i używania oręża, bądź na łowach, bądź w wojennej potrzebie, pozostał przy rycerstwie,

które przewodziło i przy ludźmi wiejskim, który za tym przewodem i w jego służbie szedł. Obie te warstwy żyły i mieszkaly na wsiach. Terenem ćwiczeń rycerskich była więc zasadniczo wieś. Łowy naturalnie z istoty swej pozostały także na przestrzeniach do tej wsi należących.

Rodzaje ćwiczeń rycerskich były rozliczne, ale kategoria ich właściwie pozostawała zawsze bez zmiany, ze względu na zasadniczy cel i na środki mechaniczne tych ćwiczeń. Środkiem była tu zawsze broń, a choć odmian tej broni było wiele, to jednak rodzaj ćwiczenia pozostawał jeden i ten sam. Z ćwiczeń tych i turniejowych w szrankach popisów powstało rycerskie zamiłowanie do konia, a ztąd wynikła potrzeba zwrócenia baczniejszej uwagi na hodowlę tego zwierzęcia.

Oto przybył znów jeden silny węzeł, który genezę sportu, jego dawniejszą, właściwą epoce formę, związał z wsią. Hodowla konia stała się integralną częścią obyczaju i życia rycerskiego, a terenem jej znowu była i musiała być tylko wieś — wieś z swymi ziarnodajnymi polami, z łąkami porośniętymi żyzną, bujną trawą, z przestrzennymi łąkami, na których szlachetne te rycerskie zwierzęta hodowały się i pały, pod gołym niebem rozwijając kształty swe i ura-



P. Tadeusz Dachowski z Leśkowej (Ukraina), znany gentleman-rider.

biając na swobodzie wszystkie te zalety, które uczyniły z konia nieocenionego sługę i wiernego druha każdego rycerza.

Płynęły lata; kultura zmieniała obyczaje i przekształcała formy zbiorowego życia, — po rycerzach przyszli żołnierze, łowy zmieniły się w polowanie, odwagę zastąpiła zręczność, miecz ustąpił odtłocowej szybkostrzelnej broni, z ćwiczeń rycerskich urodził się „sport“.

Pierwszą dziedziną w której on zakwitł naprawdę i pozostał do dziś dnia na najpoważniejszym stanowisku, była hodowla koni. Do tego stopnia zrosła się ona z upodobaniami i z resztkami pierwotnych instynktów ludzkiej duszy, że przetrwała zwycięsko fazę pochodzenia ludzi od miecza do lemiesza, od lemiesza do maszyny. W czasach nowożytnych nie było już rycerskiej potrzeby hodowania bojowych, potężnych rumaków, bo nie było ich już komu dosiadać — ni w turnieju, ni na bitewnym polu.

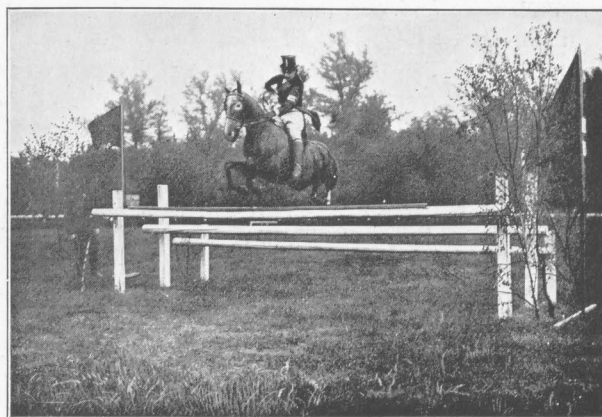
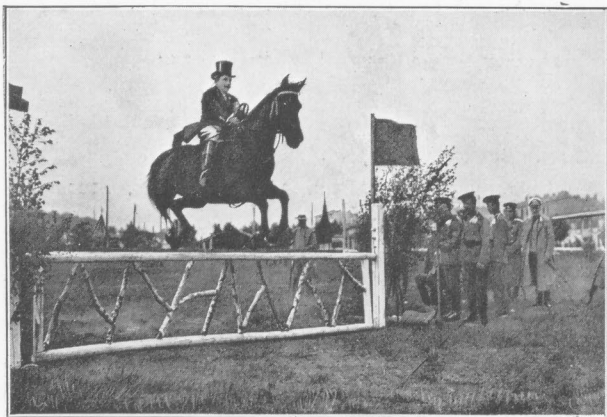
Nowożytna kawalerja potrzebowała koni wytrzymałych i szybkich i w tym kierunku zwróciła się hodowla. Najlepsi i najbystrzejsi na całym świecie

ludowcy, Anglicy, zainaugurowali ten zwrot, a w ich ślady poszła cała Europa i cały cywilizowany świat. Skoro zasady tej nowej hodowli trafiły do nas, to naturalnym terenem ich aklimatyzacji i dalszego rozwoju była, tak samo jak i przedtem—wieś.

Naturalnym porządkiem rzeczy hoduje ona dziś pełną i pół-krew, tak samo jak dawniej hodowała konie bojowe, dzianety wierzchowe, ciężkie do kolmas paradyery i mierzyny do pracy na roli.

Selekcja materiału hodowlanego przeniosła się ze wsi do miasta. Próby wyścigowe muszą hodowcom dawać jakąś gwarancję materialnych zysków, a gwarancję tę daleko prościej, łatwiej i w większym zakresie uzyskać można w środowiskach miejskich. Sport wyścigowy rozwinął się więc w miastach, ale rozwinął się on na podstawie hodowli wiejskiej i dla tej hodowli właśnie.

Dawniejsze ćwiczenia rycerskie i łowy przy czynnym i szerokim udziale arystokracji i ziemiaństwa naszego w politycznym życiu kraju, przy licznych zjazdach, przy obyczaju gwarnego towarzyskiego życia i przy sumiennej pracy na roli wypełniały całkowicie czas ludzi mieszkających na



Konkursy hipiczne w parku Agrykola.



Konkursy hipiczne. P. B. Peretjatkowicz z Wołynia na „Zamoroco“ (zakł. fot. „Saryusz-Wolski“).

wsi i niebyło już miejsca na inne zajęcia. Ale dziś sport współczesny, który odziedziczył te tradycje dawniejszych rycerskich zapasów, musiał się rozdrobnić na cały szereg kategorii, aby różnorodnością swoją utrzymać się na porządku dziennym społeczeństwa. Zresztą zdemokratyzował się on w miarę demokratyzacji społeczeństwa, stał się dla wszystkich warstw i stanów przystępnym i uwzględnił potrzeby przede wszystkim ludzi mieszkających w większych środowiskach, zatem w miastach. Tem więcej się on rozwinął, im większe są środowiska te, im większa, liczniejsza masa ludności w nich zamieszkałej.

Na wsi pozostało właściwie jedno tylko, obok hodowli koni i sportowego ich użytku — myśliwstwo.

W miastach rozwinęły się: football, lawn-tennis, gimnastyka i atletyka, cyklistyka, wioślarstwo, łyżwiarstwo, automobilizm wreszcie lotnictwo, którego właściwie nawet za sport uważać nie można.

Wieś hodowli koni i sportowemu ich używaniu oddaje się w równej mierze z myśliwstwem. Są to dwa ulubione sporty wieśniaków i do mistrzostwa w nich dochodzą oni z reguły, podczas kiedy ludzie z miasta wyjątkowo tylko w nich się odznaczają.

W stosunku do innych sportów wieś dostarcza miastu stale kontyngensu niestrudzonych i gorliwych adeptów. Młodzież wiejska kształcąca się w miastach, uważa wymienione powyżej w mieście organizowane i ćwiczone sporty za ulubioną rozrywkę i współzawodniczy w nich zwycięzko z młodzieżą rdzennie miejską.

Gdyby można przeprowadzić u nas ścisłą w tym kierunku statystykę, rezultat jej wykazałby niewątpliwie liczebną przynajmniej w tej sprawie przewagę wsi nad miastem.

Wieś i wieśniacy lubią ćwiczenia sportowe, uważają je za sprawę blisko ich obchodzącą, ściśle związaną z temi warunkami bujnego fizycznego rozwoju, których w pełnej mierze dostarcza i które wspaniale rozwija — wieś i polskie życie. Z tego

powodu poświęcając aktualności sportowej chwili specjalną rubrykę przekonani jesteśmy, że zajmie ona naszych wiejskich Czytelników i odpowie ich znanym w tym kierunku zamiłowaniom.

* * *

Konkursy hipiczne Warszawskiego Koła Sportowego mają już ustaloną w sferach jeździeckich opinię. Do liczby stałych bywalców i uczestników tego dziarskiego meetingu przybył (po raz już drugi) nowy gentleman-rider w osobie p. B. Peretjatkowicza z Wołynia, który doprowadził w tym roku 5 dobrych koni i zdobył nimi 8 nagród na tegorocznych konkursach.

Stajnię p. Peretjatkowicza składały: „Hultaj“ stada p. Szumowskiego na Wołyniu, „Salto-in-oria“ stada p. Korybut-Daszkiewicza z grodzieńskiego, „Płotka“ stada p. Podhorodeńskiego z Wołynia, „Zamoroka“ stada hr. Ledóchowskiego i „Eden“ stada hr. Czackiego — również z Wołynia.

ALA ROSÉ.

SONETY WOŁYŃSKIE.

Łąki.

Kwiecą się łąki... Srebrne, jasne ostromlecze,
Przetkane błękitnemi niezabudek łzami,
Patrzą w niebios kopułę, którą słońce plami,
Rzucając o zachodzie różowawe miecze.

Rozchodnik zadumany przez rowy się wlecze
I z polną pautycą spleta się listkami, —
A w każdym jej kielichu lśni rosa kroplami,
Mieniając się krwią rubinem, jak serce człowiecze.

Fioletowa czerwień sztywnej, zimnej smółki,
Odbija od srebrzystych łodyg starych ostów,
Wabiąc ku sobie ruchem salonowym pszczołki...

U stóp napół zapadłych, pobutwiałych mostów
Lśni szmaragdowa zieleń błot i trzęsawiska,
Wśród których drobny strumień wąską wstęgą
tryska...

Polska hodowla koni pełnej krwi.

Hodowlę koni t. zw. pełnej krwi rozpoczęto u nas pod wpływem obserwacji nad eksperymentami, poczynionymi w tej dziedzinie przez Anglię.

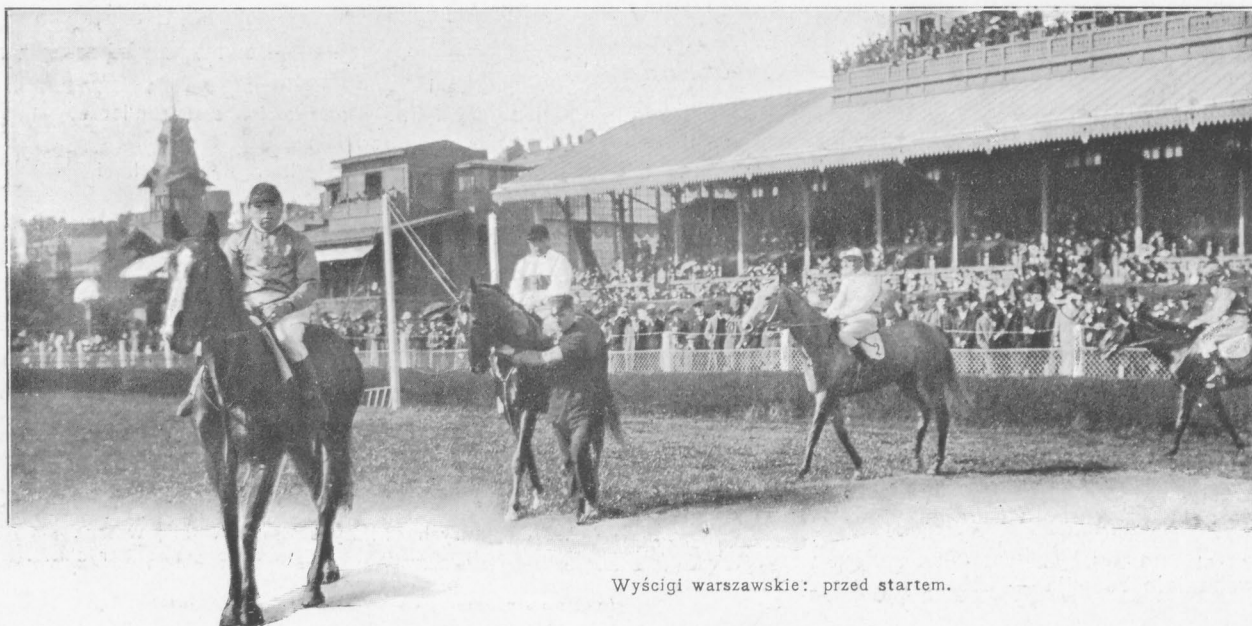
Koń angielski pełnej krwi wyprodukowany został jak wiadomo przez połączenie importowanej do Anglii krwi czysto orjentalnej z materiałem miejscowym, od dłuższego już czasu hodowanym selekcyjnie, z położeniem głównego nacisku na budowę, siłę i wytrzymałość. Te zalety osiągnęła staro-angielska hodowla w linjach rodów t. zw. „królewskich” w wysokim stopniu, starannie selekcjonując materiał swój stadny, krwi tak zwanej „armorykańskiej” czyli staro-angielskiej. Produktom tej hodowli brakowało jednak przymiotu tak wysoko rozwiniętego u wschodnich koni, pustynnych — — szybkości. Szybkość tę dało im właśnie dopiero skrzyżowanie z tą krwią wschodnią, głównie berberyjską. Powstała z niego dzisiejsza, wspaniała rasa koni „pełnej krwi angielskiej”.



Wyścigi warszawskie. Vice-prezes p. Fryderyk Jurjewicz z Berszady, br. Kronenberg i p. W. Reszke przed trybuną członkowską.

Pierwiastki krwi składające się na wytworzenie tej rasy, należą już do historii; pozostała z nich już tylko ta właśnie kompozycja krwi, której dalej rozkładać i szczepić nie można, bo ona już jest sama niepodzielnym pierwiastkiem zamkniętym w istnieniu pewnej liczby koni ściśle wywiezionych od rodzin, które łącząc się właśnie rasę nowoangielską stworzyły.

Z Anglii przeszła ta rasa na kontynent i trafiła w pochodzie swym i do nas. Niepodobna dziś już ustalić, komu z naszych hodowców należy się pierwszeństwo w jej sprowadzeniu, niepodobna także ustalić ściśle daty kiedy ono nastąpiło. W hodowli systematycznej wystąpiła ona u nas dopiero w latach sześćdziesiątych, a pierwsze jej publiczne pokazy i próby datują się mniej więcej od lat czterdziestu pięciu. W stosunku zatem do Anglii, a nawet do bliższych jej krajów kontynentalnych jest nasza hodowla zupełnie młodą, jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę porównanie ilości jakości materiału, na jakim



Wyścigi warszawskie: przed startem.



Wyścigi warszawskie: bligh-life u wag. (Zakł. fot. „Saryusz-Wolski“).

ona się tu i tam oparła i opiera, to łatwo będzie pojąć różnicę w produkcji i ogólnym rozwoju.

Mimo to możemy śmiało powiedzieć, że w hodowli koni pełnej krwi doszliśmy już do rezultatów poważnych i że niewiele już brakuje do faktu uznania jej przez inne kraje hodowlane za współrzedną im produkcję.

Stada pełnej krwi założyli u nas i prowadzili początkowo hodowcy-amatorowie, ludzie bogaci, których nieodstraszył duży nakład pieniężny na tę sprawę. Z tych to stad — Potockich, Branickich, Krasieńskich, Druckiego-Lubeckiego, Grabowskiego, Zamoyskiego, Lubomirskich — krew pełna poczęła się przedostawać do hodowców mniejszych, gdzie posłużyła następnie do wytworzenia krajowej półkrwi angielskiej. W reprodukcji naturalnie musiał zasilać nas stale import. Sprowadzaliśmy matki i ogiery stadne i dziś bez tego importu, zwłaszcza ogierów, niepodobna by dalej hodowli pełnej krwi prowadzić.

Wyprodukowano u nas dużo koni wybitnych, które na torze Mokotowskim w Warszawie zdobywały obfite laury w próbach wyścigowych, reproductory jednak klasyczne osiągnęliśmy dotąd tylko dwa: „Rulera“ i „Sac-à-papier’a“. Pierwszy z nich dał dużo koni klasy, pożytecznych na torze i w stadzie, ale w potomstwie tem niezostawił następcy tej co on sam wartości. „Sac-à-papier“ uznany został za wielkość stadną dopiero po zwycięstwie „Intryganta“ w Derby wiedeńskim i po tryumfach „Jasnej Pani“, „Księcia Pana“, „Kartacza“, a głównie dopiero po

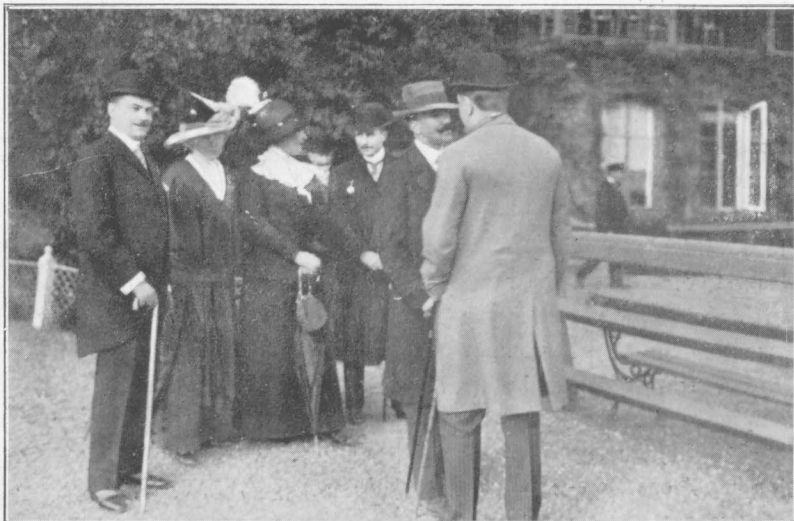
wstąpieniu w szranki fenomenalnej rzeczywistości „Liry“.

Czy „Sac-à-papier“ zostawi po sobie równie dobrego reproductora — dziś jeszcze niepodobna przewidzieć. Najlepsza z jego potomstwa dotychczas jest właśnie „Lira“. Zresztą „Sac-à-papier“ okazał się do tego stopnia dobrym reproductorem, że dla nas został już prawie stracony. W r. b. ten syn Salisbury’ego stanowią już w Austrii. W wiedeńskim oddziale stajni ks. Lubomirskich, pozostałym po zwinięciu jej u nas, jest jeszcze obiecujący bardzo trzylatek „Łana“ (Sac-à-papier—Fipenowa po Galtee-More od Weiter) który w r. z. biegał w Wiedniu, a zwłaszcza

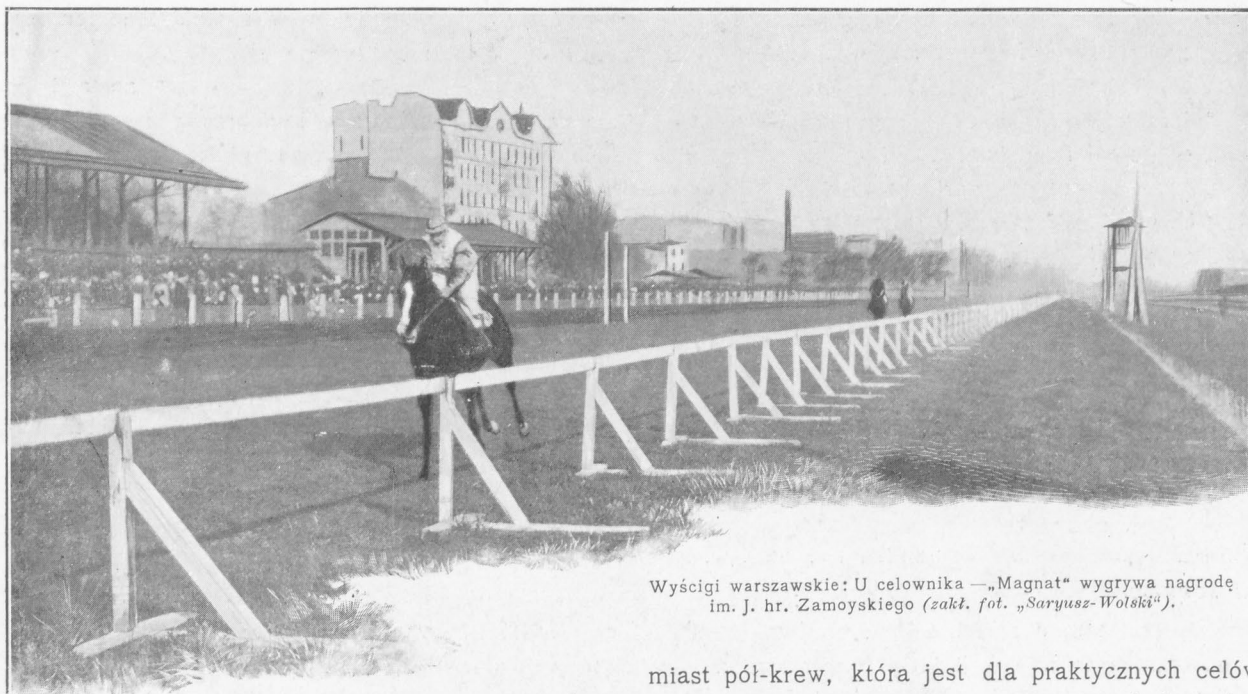
czka w Kottingbrunn, tak dobrze, iż został zaliczony do derby — klasy. Jest on jednak niewielkiego wzrostu, a chociaż czasem konie małe bywały wielkościami na turfie (Dr. Syntax np.), to jednak zasadniczo ten brak wzrostu jest jeżeli już nie wadą, to przynajmniej powodem do wątpliwości.

Syn „Salisbury’ego“ nadaje się bardzo do córek „Galtee-More’a“ ze względu na obfitość krwi *running* w żyłach tego ostatniego płynącej, w którą właśnie „Sac-à-papier“ jest dosyć ubogi. W rodowodzie „Łana“ są imbread’y na słynnego Stockwella (przez Master Kildare — „Bend’Or’a“ — „Springfield’a“) i na znakomitego „Cambuscana“ (przez „Camballo“ i „Wunschmaid“) zatem na wybitne podług teorii Bruce-Lowe’a rodziny III i 19, teoria ta klasyfikuje jednak „Łana“ do rodziny 4. (*running*), co byłoby powodem do spodziewania się z tego konia więcej pożytku na torze niż w stadzie.

„Łom“ również ze stada ks. Lubomirskich, znaj-



Wyścigi warszawskie: „Kto weźmie? „fuks“ czy „faworyt“?..



Wyścigi warszawskie: U celownika — „Magnat” wygrywa nagrodę im. J. hr. Zamoyskiego (zakł. fot. „Saryusz-Wolski”).

dujący się w Anglii, jest synem „Gouvernant’a”. Jest to koń również bardzo obiecujący, więcej nawet może od „Łana”, co jednak z niego będzie i czy wogóle do kraju powróci, zupełnie jeszcze niewiadomo.

Wogóle o rezultatach naszej hodowli pełnej krwi można dziś powiedzieć, że są one daleko więcej wartością bieżącą niż stałą. Ta wartość bieżąca — to rozrost hodowli w kraju i przychówek pewnej dość nawet znacznej liczby koni dobrych, które jako matki w połączeniu z importem zagranicznym mogą posłużyć jako dalszy materiał rozwojowy dla pełnej krwi, a jako ojcowie w połączeniu z materiałem miejscowym mogą dać i dają dobrą, praktyczną pół-krew.

Dla przyszłości ekonomicznej kraju pół-krew posiada znaczenie bardzo wielkie. Przychówek folblutów kupuje u nas dziś Cesarstwo, ale eksport ten ilościowo nie prędko jeszcze stanie się poważną cyfrą w krajowych dochodach gospodarczych, a na zbyt pełnej krwi zagranicą nie możemy przecież jako na stały obrót nigdy liczyć. Pozostaje nato-

miast pół-krew, która jest dla praktycznych celów bardzo poszukiwana, dobrze płacona i której zbyt może rychło stać się poważnym źródłem zysków. Gdyby w tej dziedzinie hodowli udało się jeszcze zrównoważyć przeciętny typ produktu w granicach naturalnie możliwych, moglibyśmy liczyć nawet na eksport. Rola pełnej krwi w stosunku do tego właśnie szerszego i praktyczniejszego zakresu hodowli z roku na rok ważniejszą się więc staje.

Krajowa wystawa koni urządzona w początkach czerwca b. r. w Lublinie wykazała dowodnie, jakie dochodowe pożytki hodowla pół-krwii niesie. Liczebnie zaś rezultat jej stwierdził, że właśnie pełna krew dała tedy bardzo okazały dorobek.

OLD-TOM.



— A ty Wojtek, z kąd taką cudacką copkę wzioneś?

— To Jaśnie Pun подарował mi ją i kazał udawać janggika, bo tera jest Czerwiec — wyścigowy czas!

STADO „WRZĄCA WIELKA”.

Jako przykład rezultatów hodowlanych w celowo i systematycznie prowadzonym kierunku chowu dobrej pół-krwi podajemy tu krótką, lecz obficie ilustrowaną z natury wiadomość o stadzie zarodowem p. Aleksiego Topińskiego z Wrzącej Wielkiej w Kaliskiem.

Znany ten hodowca, którego wychowanków od szeregu już lat widzimy na dorocznych wystawach prowincjonalnych i stołecznej „inwentarza“ w Warszawie, doszedł umiejętą i systematyczną pracą kilkunastu lat do wyników bardzo już poważnych jako typ hodowlany i jako doskonale rentująca gałęź gospodar-

praktyczną swoją stroną dać może zajęcia i wysoko cenionej, zdrowej, miłej rozrywki dla hodowcy-sportsmana.

Stado Wrząca Wielka położone jest w Ziemi Kaliskiej powiecie Kolskim i prowadzi się w kierunku wysokiej pół-krwi. Matki stadne, których jest przeszło 30 składają się z klaczy anglo-arabskich i kilku pełnej krwi angielskiej. Najpiękniejszych klaczy właściciel nie sprzedaje, idą one na matki. Ogierami się stado posługuje tylko pełnej krwi. W ostatnim czasie wybitnie odznaczył

się w stadzie reproduktor kasztanowaty

„Claude-Frollo“ syn

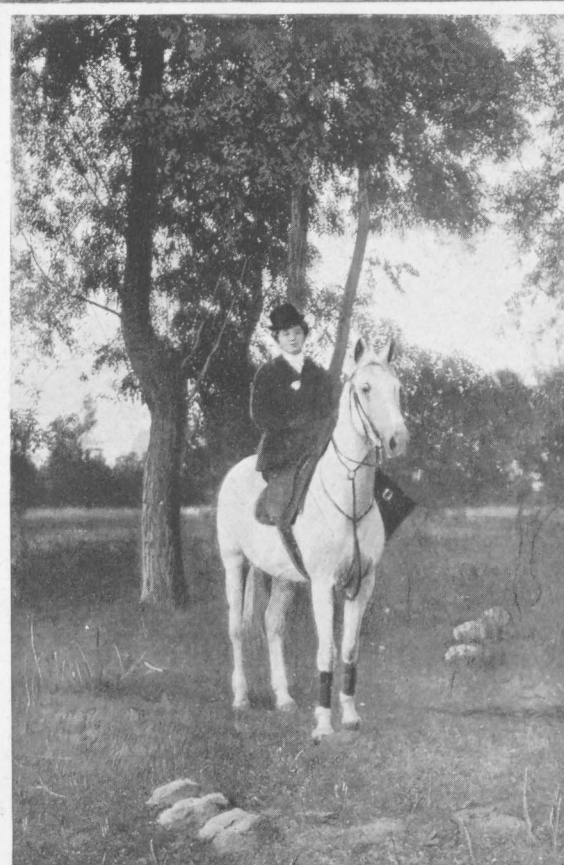


Na pastwisku.

stwa. Źródłem tej pracy jest przedewszystkiem szczere zamiłowanie do konia, podzielane przez jego małżonkę.

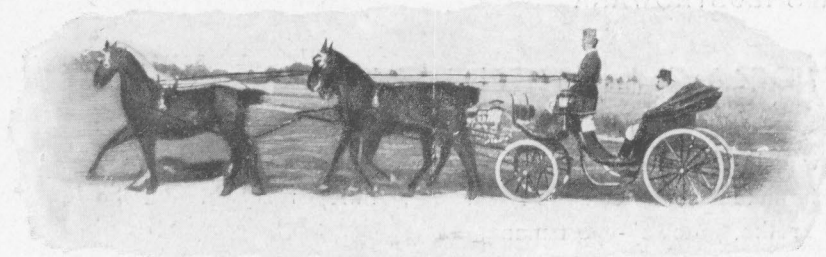
Załączone poniżej wykazy cyfrowe stanowią niezbitą dowód dla twierdzenia, że hodowla pół-krwi traktowana poważnie może się dobrze opłacać i że dla wielu gospodarstw w których jest lekceważoną, stanowiąc by mogła pewną dźwignię dochodów gospodarczych.

Szereg dołączonych ilustracji pokazuje *ad oculos*, ile taka hodowla poza



Master'a Kildare i Claude, ze st. sernickiego który wygrał z klasycznych wyścigów „Warszawskie Derby“, „Produce“, „Nagrodę Specjalną“, został także nagrodzony medalem złotym przez Główny Zarząd Stadnin Państwowych. Zbyt na konie stanowią komisja remontowa i oficerowie.

W roku 1910 zakupuje komisja remontowa 21 sztuk młodzieży po Claude-Frollo a hodowcy przesyła w nagrodę za wybory materiału wielki medal złoty.



Ulubiona czwórka.

Ze stada Wrząca Wielka zostało sprzedanych koni:

W roku	sztuk	za
1903	5	1500 rubli
1904	7	2200 "
1905	6	1850 "
1906	3	1000 "
1907	11	3450 "
1908	14	4200 "
1909	13	4395 "
1910	24	8550 "
1911	23	11540 "

Na wystawach krajowych od roku 1904 — 1911 konie ze stada Wrząca Wielka zostały nagrodzone: sześcioma pierwszymi nagrod. w formie med. srebr. jedenastoma drugimi nagr. w formie med. brązowych; sześciomatrze-

ciemi nagr. w formie listów pochw.; medalem złotym za remontę; nagrodami pieniężnymi w sumie Rb. 1950.

Właściciel stada oddaje się całej hodowli koni, w czem mu dopomagają ze znajomością rzeczy jego młoda małżonka, której konny portret zamieszcza- my na początku artykułu.

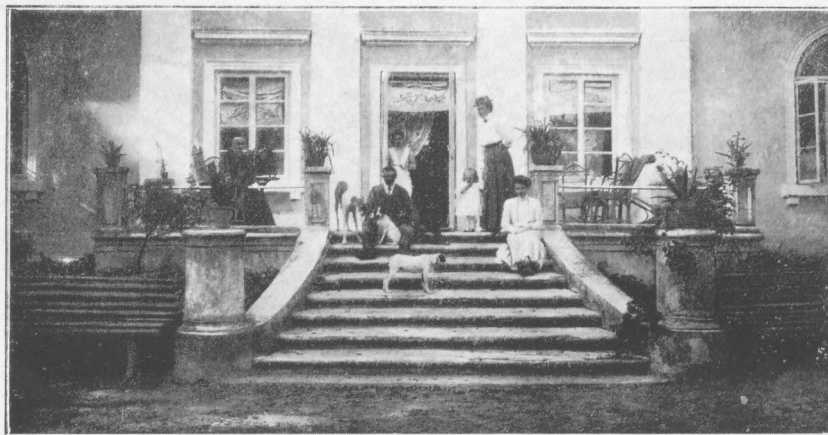
Świeżo mieliśmy sposobność oglądać konie ze stada Wrząca Wielka na krajowej wystawie koni w Lublinie. Pan Topiński doprowadził tam stawkę złożoną z 10 sztuk, a mianowicie: klacz siwą anglo-arabską „Wisłę“, (której fotografię pod siodłem właścicielki podajemy na początku niniejszego opisu) — ur. w r. 1901 w stadzie Brzezio u barona L. Kronenberga, po „Claude-Frollo“ od „Wilejki“ (po folblucie „Minrydzie“ od „Wilji I“ wywodowej arabki); — kasztanowatą klacz „Sormę“ ur. w r. 1903., i importowa-

na z Francji — kasztanowatą klacz „Mugdenkę“ anglo-arabską ur. w 1907 po „Claude-Frollo“ od „Madame Margot“ (po arabie „Sułtanie“ od matki pół krwi angielskiej) — klacz kasztanowatą anglo-arabską „Pieszczotę“ ur. w r. 1907 po „Claude-Frollo“ od „Poradzewianki“ rodzonej siostry „Madame Margot“; — kasztanowatą klacz anglo-arabską „Mugdeneczkę“ urodz. w r. 1909, po „Claude Frollo“ od „Madame Margot“ (ks. st. koni pół krwi tom II str. 251.) — kasztanowatą klacz anglo-arabską „Enidka II“ ur. w r. 1909 po „Claude-Frollo“ od matki „Enidka I“ („księżna Enida“); — kasztanowatą anglo-arabską „Barkarollę“ ur. w r. 1909 po „Claude-Frollo“ od „Bajki“ (po „Sułtanie“ z matki pół krwi angielskiej); klacz „Kasztankę“ anglo-arabkę ur.

w roku 1910, po „Claude-Frollo“ od „Carmen’y“ (po „Equilitait“ pół krwi angielskiej); — gniadą pół-kwii angielskiej „Wartę“ ur. w r. 1911 po „Pan z Pannów“ od „Wisły“; — wreszcie kasztanowatą p. krwi

angielskiej „Sybillę“ ur. w r. 1911 po „Claude-Frollo“ od „Sormy“.

Wychowanki stada Wrząca otrzymały dwa listy pochwalne, stając do emulacji na wystawie tak obficie obeslanej jak właśnie była lubelska, w ziem-



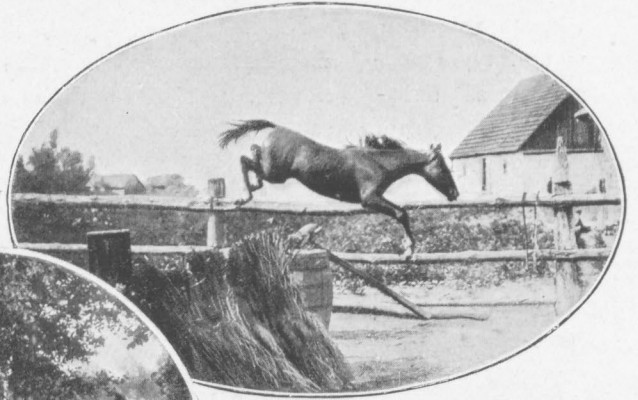
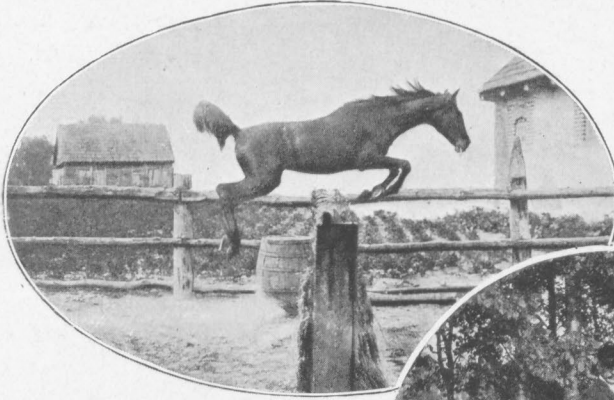
Dwór w Wrzącej Wielkiej od ogrodu. P. Topińscy i ich krewni.



Dwór w Wrzącej Wielkiej od strony podjazdu.



Młodzież powraca na noc z pastwiska.



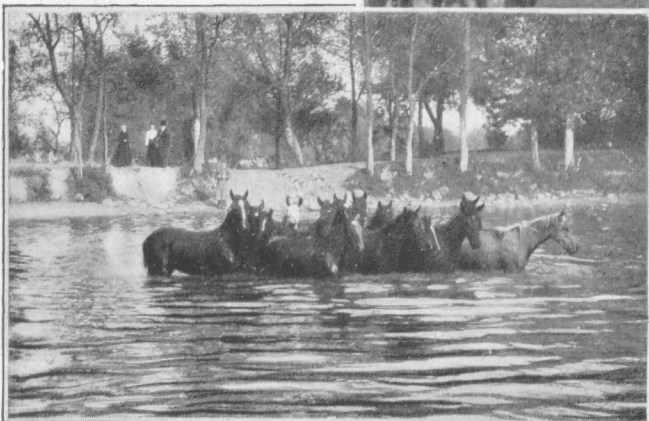
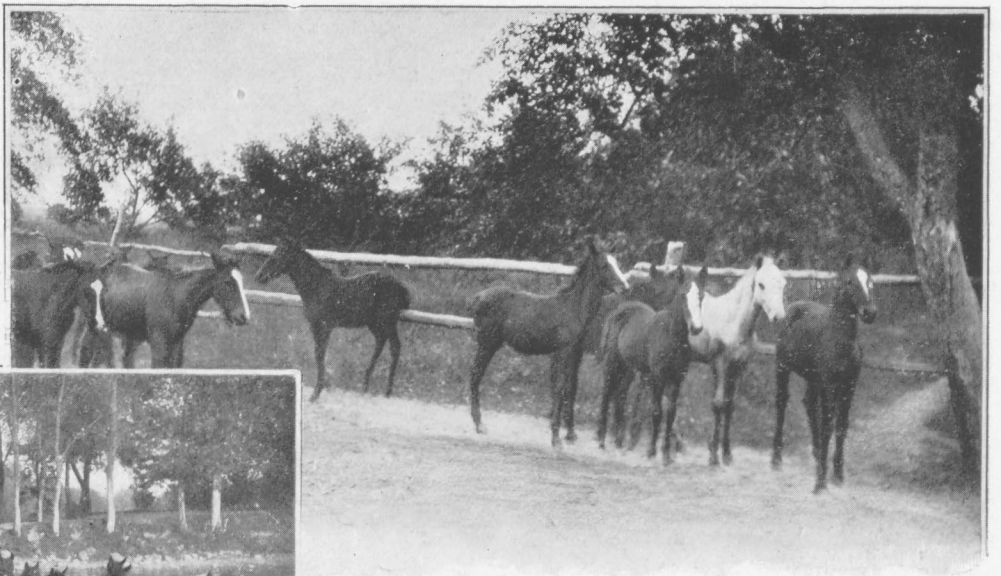
Wolny skok.

Matki stadne.

P. Aleksy Topiński na ulubionej folblucie „p. Topciowej” (Patriarche p. Twardowska).

Wolny skok.
Dwulatki.

Najmłodszy przychówek na swobodzie. Paśnik cieniasty a przestronny daje zupełną wolność ruchów i nawet podczas upału daje przed nim schronienie.



Higiena w hodowli stada przestrzegana jest ściśle, a chłodną kąpiel której z widoczną przyjemnością używają konie należy do codziennego programu.

mi dostarczającej połowę rocznego zapotrzebowania remonty z Królestwa.

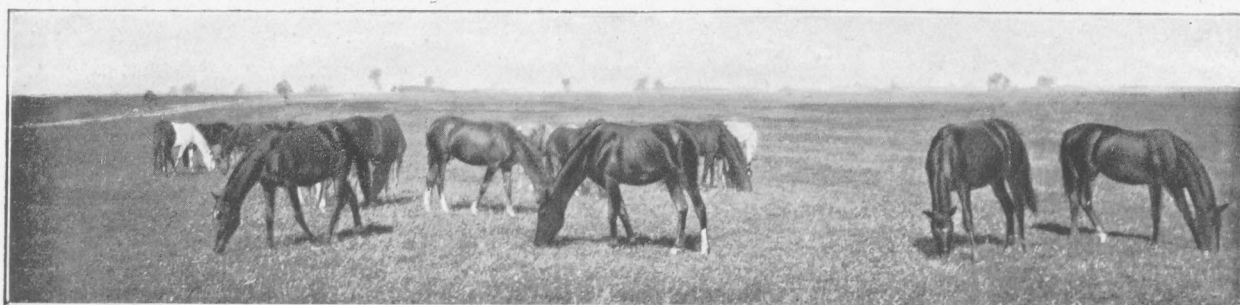
Cała stawka p. Topińskiego wyróżniała się jednolitością typu i wysokim już w znaczeniu hodowlanym ustaleniu w tym typie podstawowych szlachejnych cech.

Uderza w tych



Właściciel stada bierze przeszkodę na folblucie „Bravo” po „Belfort” od „Mahbuby”.

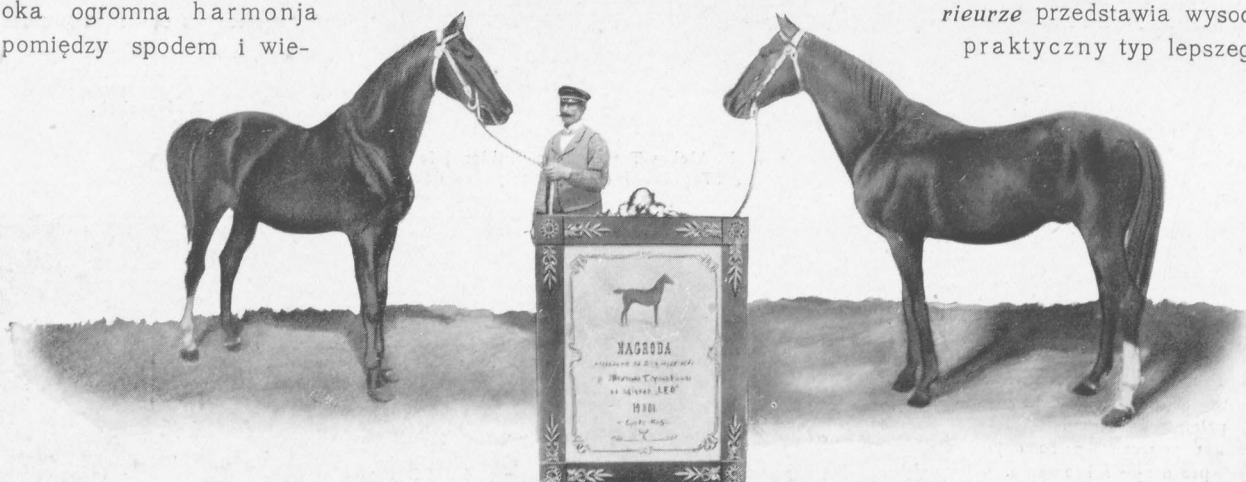
pińskiego zostawiła najlepsze swoje cechy w suchości i sile spodów, szlachetnym rysunku szyi i łba, w nerach i krzyżu. Domieszka krwi angielskiej dała większy wymiar budowie, zesza się doskonale z arabską w więzi, dała ładny wzrost. Całość produktów tej hodowli przy kla-



Pastwisko polne.

koniach na pierwszy rzut oka ogromna harmonja pomiędzy spodem i wie-

sycznym rasowym, *extérieurze* przedstawia wysoce praktyczny typ lepszego

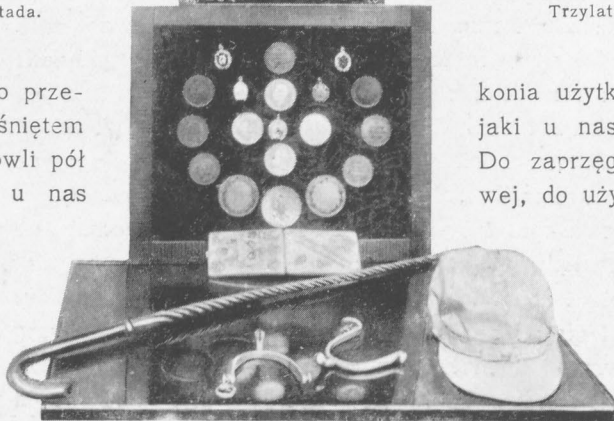


„Claude-Frollo”, reproduktor stada.

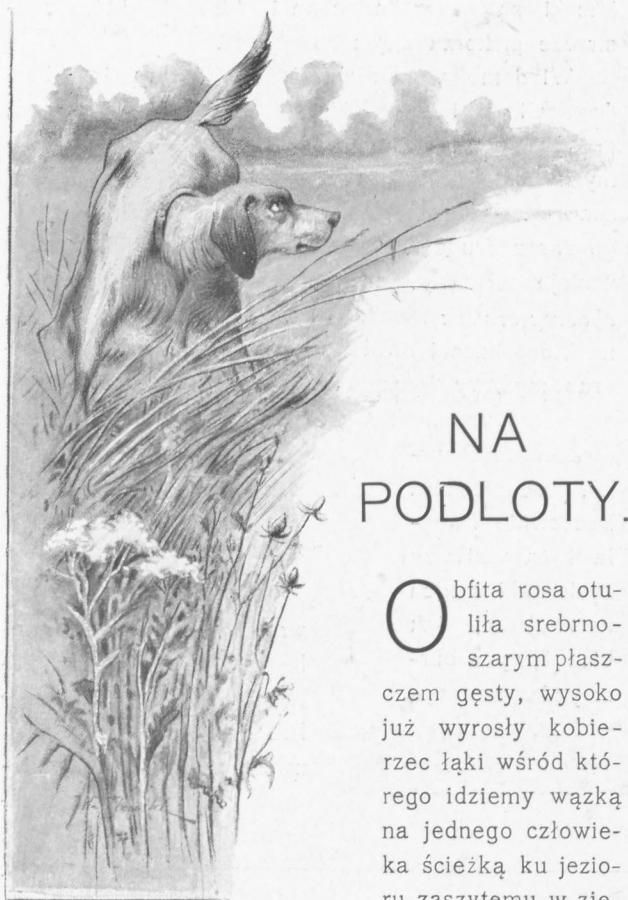
Trzylatek po „Claude-Frollo”.

rzchem, niema ani śladu tego przeciążenia korpusu, zbyt rozrośniętym membrowaniem, które w hodowli pół krwi tak często się jeszcze u nas spotyka. Świadczy to przede wszystkim o dobrem zrównoważeniu prądów krwi, angielskiej ojca z anglo-arabską krwią przeważnej ilości matek. Ta krew wschodnia w stadzie p. To-

konia użytkowego, takiego właśnie, jaki u nas jest najpotrzebniejszy. Do zaprzęgu i do jazdy wierzchowej, do użytku wojskowego, do polowania, do pracy nawet bardzo intensywnej przy odpowiednim naturalnie traktowaniu jest to nieoceniony materiał.



Premie i nagrody.



NA PODLOTY.

Obfita rosa otuliła srebrnoszarym płaszczem gęsty, wysoko już wyrosły kobierzec łąki wśród którego idziemy wąską na jednego człowieka ścieżką ku jezioru zaszytemu w zielono-żółte trzciny i ciemny pas nad-

brzeżnych szuwarów. Idziemy jak po wodzie, powyżej kolan zamoczeni w mokrej trawie, z której każdy krok otrząsa nam na nogi, w specjalne chodaki obute, bogatą, niewypitą jeszcze rannem słoń-

cem wilgoć. Dziwnie rzeźwi ten chłód i dodaje energii. Żaden z nas nie lęka się kataru.

A słońko wzeszło już dosyć wysoko i po przybach wiejskich chałup na śniadanie siadają już ludzie, śpiesznie łykając żur zakruszony razowcem, by do południa jeszcze roboty kęs spory zepchnąć.

Jeziorko jeszcze w sinawej mgle. Od łącznego brzegu wiatr poranny już zwiął lekki jej, przezroczysty tuman i pchnął go na ciemną ramę boru w którą tafla wody klinem coraz węższym się wrzyna, ginąc między ścianami sosen, pod czarnymi gałęziami starych świerków.

Doszedłszy do brzegu wyciągamy z szuwaru łódź, spychamy ją na czysty szlak wody i wsiadamy w pięciu — przyjaciel mój, ja, Onufer rybak i dwaj nasi towarzysze: czarny mój „Rex“, pointer delikatny, wodnem polowaniem dotychczas gardzący i przyjaciela mego „Bluff“, ciężki, nakrapiany niemiec w czekoladowe łaty.

Kaczki są pewne.

Przed tygodniem sprawdzaliśmy na leśnym brzegu i były już dobrze wyrośnięte „klapacze“, prawie że „podloty“.

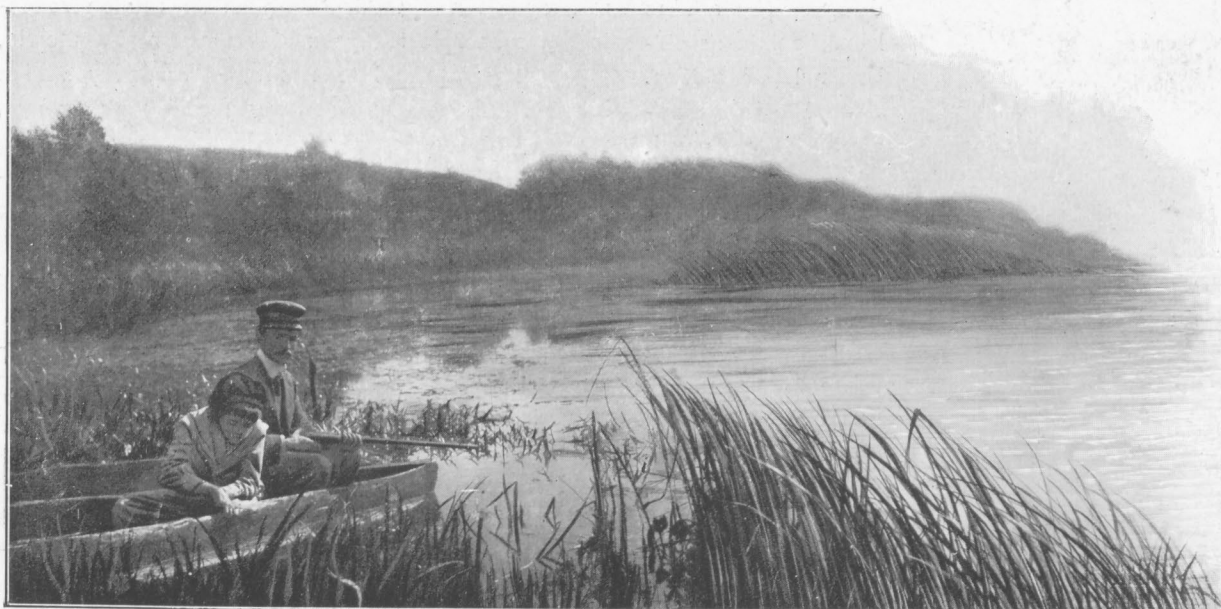
Dziś już napewno podrywać się będą; Onufer wczoraj widział już krążące nad jeziorkiem stadka.

Tylko trzcina w zeszłym roku niecięta wcale, okrótnie wyrosła i ciężko będzie przez nią się przepychać. Ale wiosłujemy zawzięcie, a cicho, odbijając się jeszcze od dna, tak by pod samą ścianą szuwarów jechać.

Pas trzcin coraz szerszy od brzegu.

— Można już zaczynać chyba?

— Można; psy w trzcinę!



Łodzią na kaczki.

— Niewiem czy Rex odrazu pójdzie...

— Za Bluffem pójdzie! Bluff! hulaj! allons!

Ciężki, nakrapiany niemiec chlusnął w trzciny. Rex zaskomlił zcicha, patrzy na mnie, chwyta trąbą wiatr od trzciny, ogonem wachluje — i radby iść i boi się wody. Ja go nie nagłę, a Bluff już szuka.

Zirytowane kwakanie, szelest trzciny, ostry, charakterystyczny świst kaczych lotek: wypchnął stadko!

Poderwały się nisko, ale starka odrazu sznurkiem ich na drugi brzeg w trzciny prowadzi.

Huknęły cztery strzały.

Parę kaczek ciężko klapnęło w wodę. Było naturalnie i „pudełeczko“ małe. To tak z pierwszego impetu, od radości wielkiej, że już są „podloty“.

Ale Rex nie wytrzymał po strzale. Buchnął w wodę z burty i płynie ostro. Niemczysko też za nim z trzciny się wysunęło na czyste. Przyaportowali nam dwie zabite, za postrzałkiem trzeba było zatoczkę przeszukać. Wziął go niemiec, Rex obrażony, *proprio motu* wlaż już w trzciny szukać.

Do południa sztuk kilkanaście krzyżówek, dwie cyranki dubletem strącone i łyskę „na wypchanie“ mieliśmy w łodzi.

A przy obiedzie, kiedy łupy nasze prezentowaliśmy ojcu, „starszy pan“ kontent ze mnie, że to syn, student na filozofji, oka i przyrzutu nie stracił, opowiedział nam aneg-

kaczki są nader żarłoczne i pierwsza, która spostrzeże piskorza zaraz go połyka.

Wiadomo wam również, że piskorz jest bardzo zwinny i wszędzie się potrafi prześlizgnąć, prędko więc orientuje się wewnątrz kaczki i wymyka się odwrotną stroną medalu, ciągnąc za sobą sznurek. Ale skoro tylko się wydobędzie, połyka go zaraz druga kaczka. Znow się wywinie i znow zostaje połknięty. Ma biedak dużo roboty i takie *chassez croisez* trwa dopóty, dopóki starczy sznurka, na który kaczki nawlekają się jak paciorki. Wówczas myśliwy wyciąga sznurek z kaczkami ostrożnie z wody, puszcza piskorza, wiąże z sobą obadwa końce sznurka, żeby mu która kaczka nie sfrunęła i zawiesiwszy sobie taki z nich naszyjnik, jak bicz żywych burstynów na szyi,



wraca do domu. Spojrzeliśmy po sobie z uśmiechem; „starszy pan“ nie lubił niedowierzania, zwłaszcza im bywały nieprawdopodobniejsze myśliwskie jego w chwilach dobrego humoru gawędy. Wnet też zaczęła się rozmowa o różnych sposobach polowania na kaczki

i zaraz pan Anzelm, który wiele świata zwędrował, począł opowiadać jak to na Dalekim Wschodzie, w Chinach i w Japonji radzą sobie z tem ostrożnym ptactwem. Tam myśliwi wchodzą po szyję w wodę do jezior, na których znajduje się ta zwierzyna i nakrywszy głowę aż do ramion rodzajem garnka splecionego z zielonych prętów sitowia, płyną stojący zupełnie spokojnie pomiędzy stadkiem kaczek, które od spodu w wodzie chwytają za nogi, wciągają do wody, duszą i wiążą u pasa, a czynią to tak zręcznie i szybko, że inne myśląc, iż towarzyska dała nurka, wcale się tem nie płoszą i po kolei podobnemu ulegają losowi.

Ojciec słuchał, puszczając gęste kłęby dymu z cygara. W końcu wstał i machnął rękami.

— Ot na licha wszystkie sposoby! nie myśliwska to sprawa! Strzelba dobra, oko i ręka — to rozumiem! i póki tego starczy nie będziemy naśladować chińskich kaczkołapów!...

I racja. W młodości pierwszej, studenckiej, bawią jeszcze różne fortele i samołówki. Ale kto raz dobrze po knieji, tej prawdziwej, się przetarkł, — ten już łowiecką tylko uczciwą i rycerską sprawą, z psem i strzelbą polować będzie...

KNIEJOWY.



dotę myśliwską jako kaczki dzikie na piskorze łapać można.

— Bierze się prosto kilka żywych piskorzy — prawil nam poważnie kochane ojczyisko, każdemu z nich przywiązuje się długi sznurek do ogona i wpuszcza się je do jeziora, stawu lub bagna, na których kaczki bywają, przytwierdziwszy, rozumie się, drugi koniec sznurka do wbitego na brzegu kołka. Wiadomo, że



BOLESŁAW PRUS.

Rozeszła się wieść, że Bolesław Prus umarł, ale on nie umarł wcale. Jest on częścią składową piękności duszy polskiej, a przeto umrzeć niemoże. Gdyby nawet, koleją rzeczy, zaginęła pamięć „Placówki” i „Faraona”, dopóki dusza polska dążyć będzie do piękna, Bolesław Prus przez nią i w niej żyć będzie.

W tym płaszczu, który się tka, aby powalone ciało narodu okryć budzącą cześć osłoną, utkał Bolesław Prus swoją część nieśmiertelną. Nikt tej roboty jego już nie zniszczy.

Tacy ludzie, jak Prus, przed wiekami byli apostołami. Apostolstwo rzeczy dobrych nieśli. Cisi,

spokojni, pogodni, namiętni i fanatycy prowadzili dzieło wybawienia duszy ludzkiej z jej pęt zwierzęcych.

Tacy to ludzie, jak Prus, pragnęli i czynili, aby na ziemi zapanowało królestwo dobrej woli.

W tej pracy Prusa nieśmiertelnej niknęły prawie dzieła jego talentu. Więcejśmy prawie znali, czcili i kochali Prusa apostoła prawdy, uccziwości, miłosierdzia, dobroci i dostojeństwa, niż powieściopisarza, choć był powieściopisarzem wielkim i doskonałym.

Prus apostoł pokonywał Prusa artystę.

Powieść polska nie zginie i bez Prusa pójdzie dalej — nieśmiertelne w czynie jego apostołstwo

zatrzymało się. Zresztą pozornie tylko; ta praca, jak zasadzone drzewo jabłonne, co roku rodzić będzie owoce.

W wielkiem poważnem kole pokolenia, które lat temu czterdzieści pracę zaczynało, jakież to piękne oblicze. Najpiękniejsze. Najczcigodniejsze i najdroższe. Dziś poszedł między świetne duchy Adama Asnyka, Elizy Orzeszkowej, Marji Konopnickiej, poszedł między cienie tych ludzi, którzy rzeczywiście według słów Słowackiego „krwią dla narodu“ chcieli być, jego „chlebem i winem“ pożywienia.

Wspaniała to galerja: Asnyk, Orzeszkowa, Konopnicka, Bliziński, Chmielowski, odeszli zawczasie. Żadna z tych głów nie była znużoną, żadne z tych serc wyschniętem, niczyj głos nie przebrzmiał. Powinni byli jeszcze żyć i tworzyć.

Oni przedewszystkiem jedno mieli dobro nieocenione: to pokolenie miało żywą tradycję męskich oddechów piersi społecznej. Ich ojcowie bezpośrednio opowiadali im rzeczy wzniosłe, oni sami rodzili się w epoce „wiosny ludów“, sami przeżywali rzeczy smutne, lecz piękne. Świat wyciskał na ich dziecinnych i młodzieńczych duszach czy to przez bliską tradycję, czy to samo przez się, piętno porywających myśli, które na całe życie, do końca na nich błyszczało.

Ci ludzie nie byli zdolni do gorzkiego, rozgoryczonego pesymizmu. Niewiara, zwątpienie, rezygnacja, poczucie bezsilności: to tło dusz następnego pokolenia, tego pokolenia, które już niczego wiosennego choć bezpośrednią pamięcią tylko się nie dotknęło. W duszach polskich tych ludzi nie było tego przygnębienia, które późniejszego pokolenia dusze przygniotło. Oni wiedzieli o czasach i widzieli sami czasy, kiedy naród polski był jeszcze czemś, miał jeszcze jakichś przyjaciół, jakąś opinię, jakieś moralne znaczenie, kiedy jeszcze nie był on powszechnie wliczony między „minderwertige Nationen“, kiedy jeszcze zachowywano względem niego formy kurtuazji, jakie się wobec upadłego człowieka z towarzystwa zachowuje — — kiedy jeszcze w salonie ludów Europy był dlań fotel honorowy i nie było ani jednej potęgi, nie wyjmując ani Anglii, ani Francji, ani Niemców, ani Rosji, któraby gorzkiego losu upadku pozorami osłodzić nie chciała. Poczucia absolutnego, bezwzględnego upadku pokolenie przed laty sześćdziesięciu i więcej rodzone nie miało. Ci nie urodzili się jeszcze w nocnym mroku i pamięć, choć bladego dnia, zachowali.

Wszystko to byli optymiści. Wierzyli w wiele wartości. Nawet posępny, chmurny Asnyk, pesymista z natury, jakże dalekim był od tych wybuchów rozpacz, od tego poczucia bankructwa, ja-

kieśmy po nim widzieli. To byli jeszcze ludzie dumni z polskości, podczas gdy następne pokolenie już było tylko rozbolełe polskością.

Niebyło w naszej literaturze większego optymisty, jak Prus. Ten matematyk i przyrodnik wierzył fanatycznie, że pewna praca wydać musi pewien plon, że pewne przyczyny spowodować muszą pewne następstwa, że dodane do siebie pewne wartości dać muszą pewną sumę, jak dodawane do siebie najdrobniejsze ułamki, jak łączące się z sobą najmniejsze drobnoustroje organiczne.

Jest wruszającym patrzeć, z jak ścisłą i dokładną wiarą w swoje matematyczno-przyrodnicze principia Prus niczem nie pogardza, niczego nie przeocza, wszystko zbiera i wiąże, aby praca w celu, który sobie wytknął, szła. Jestto pracownik, który sobie zakreślił plan olbrzymi, którego uplanowanego gmachu kopuła gdzieś w chmury sięga, a nawy rozpierają się od oceanu do oceanu, ale który wie, że nawet ziarnko piasku położone na mury, mur dźwiga i tak buduje. On wie, że nawet z ziarenek piasku egipskiego możnaby także wybudować piramidę Cheopsa — potrzeba by na to tylko więcej trudu i więcej woli. Czas dało mu przeznaczenie, ale trudu i woli on sam nie żałował. Jego życie całe to jeden trud i jeden akt woli.

Gdybyście kiedy pomnik Prusowi stawiali, powinna na tym pomniku stanąć figura allegoryczna, mocarza, który z drobnych kamyczków ściany zawrotnej wysokości budynku muruje.

A budynek ten, piramida owa, to wszechświat. Bo Prusa szeroki, dumny, wolnomyślny umysł mimo całego patriotyzmu nigdy istoty świata ogólnego z baczności nie stracił. Prus wie doskonale, że Polska, jako taka, sama dla siebie, nie istnieje, że nic nie dzieje się wśród Polaków, coby nie odbijało się echem we wszechświecie, nic we wszechświecie, coby nie odbijało się echem wśród Polaków. Prus wie, że ziemia jest wspólną ojczyzną ludzi, że praca nad udoskonaleniem się ludzkości ma być pracą pospólną i że zdobycze jej należą porówno do wszystkich. Prus, ten pierwszy współczesny obywatel polski, jest jednym z pierwszych współczesnych obywateli ogólnościowych. A tu nań mogą patrzeć ci, którzy, nauczeni przez Żydów, własną swoją narodowość zatracają w „ideale internacjonalu“, któremu nikt nie jest dalszy, jak właśnie Żyd, ten młynarz cudzej głupoty na własny zysk.

Nie mogę powiedzieć, aby Prus, który przyglądał się wszystkiemu, rozważał wszystko, zajmował się wszystkiem, był nieomylny, aby myśl jego szła zawsze dosyć głęboko, a intencja nie naginała do siebie faktów. Już choćby kwestja żydowska, po-

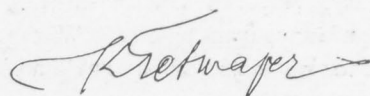
ruszana przez Prusa niejednokrotnie, służyć może za przykład. Prus doszedł do wniosku, że prześladowanie, jakiemu ulegali Żydzi, wytrzebiło w tej rasie szlachetniejsze instynkty, a wzmogło i wyrobiło te, z którymi się codziennie spotykamy: sobkostwo, przebiegłość, chytryść i t. d. i t. d., znamy je wszyscy. Prus jednak zapomina, że jeżeli powstało w Europie żydowskie Ghetto, to nikt wyroku na Żydów nie ferował, zanim Żydzi wyroku tego nie sprowokowali. Nikt Ghetta naprzód dla Żydów nie gotował. Przybywały przecież do Europy różne ludy, jednak Ghetto utworzyło się tylko dla Żydów. Wielkie serce Prusa chce ratować ten lud, a to przecież nienawiść tego napływowego plemienia do wszystkich ludów Europy, nienawiść i to, co za nią szło, wywołało reakcję tych ludów. Prus spostrzega dzieło reakcji — oponuje według swojej metody matematycznej, ale odwraca wartości, bierze skutek za przyczynę.

Prus dał niedawno jaskrawy przykład intencji w swoim traktacie o Napoleonie. Ukazawszy olbrzymi rezultat pracy Napoleona, pokazał nam drogi, jakimi Napoleon do niego szedł — fałszywie. Człowieka namiętności, uniesień, porywów, natchnień, orlich rzutów oka i szczęśliwej gwiazdy: ściągnął do poziomu tego charakteru, jaki chciałby widzieć u cierpliwie, oględnie, rozważnie, z wiarą tylko w matematyczną konieczność, w logiczne stopnie pochodne wypracowującego sobie lepszą dolę społeczeństwa. Najfałszywiej postawił Napoleona jako wzór dzisiejszej Polsce. I w jednym i w drugim wypadku z pełną wiarą, ze szczerem przekonaniem, z fanatyzmem serca, który mu nawet fakta w oczach przeinaczał. Namiętna natura Prusa czego pragnęła, tego pragnęła tak silnie, że wyobraźnia zastępowała rzeczywistość. Szerokie, gorące serce Prusa cierpiało nad anatamą rzucałą przez świat na Żydów, szukało z uniesieniem wskazań dla polskiego społeczeństwa. Cóż za szanowne błędy! Jakież czcigodne omyłki! Dla ideału swego, dla swoich pojęć idealnych, ten matematyk mylił się — tak nadmiernie dążył do ich realizacji.

Niebyło u nas człowieka optymistycznie, dodatnio, nie krytycznie, ale twórczo płomienniejszych uczuć. Niebyło to dziecko epoki powszechnie wżajem grożącej sobie wojny — to było dziecko „wiosny ludów“. Żadne przejścia, żadne klęski, żadne burze niemogły w Prusie zatrzeć piętna, z jakim się rodził i zniweczyć wpływu powietrza, jakim oddychał młody. Gorzkie, cierpiące, zapadające w ponurą rezygnację, lub porywające się do szaleństw rozpaczy późniejsze pokolenie z podziwem patrzeć musiało na niestrudzoną pogodę Prusa, na jego wiarę w światło i to tu, na ziemi. Pessimizm

jest ojcem abstrakcji, ojcem wiary w nadprzyrodzone — tu, na ziemi, szukał Bolesław Prus „Bożego Królestwa“. Szukał, wierzył w nie i dążył doń. Jeżeli będziecie budowali mu pomnik, to umieście na nim alegoryczną figurę wędrowca, który garnąc ku sobie chorych, ubogich, opuszczonych, nieszczęśliwych, sam z psalmem wiary na ustach, z kosturem wędrowniczym w rękę, w sandałach na pokrwawionych stopach, wiedzie ich wszystkich do ziemi obiecanej, widzi ją i ukazuje im. Nie wskrzesza on wspomnień świetnej przeszłości, nie rozpacza nad obecną niedolą, nie rzuca się rozpaczliwie w Ciemne Nieznane, nie buduje cudownych ogrodów na niebie: ale tu na ziemi szuka piękna i dobra, wierzy w ich istność, ich możliwość, nawet w ich konieczność i zwyczajstwo powszechne.

Jako umysł jest Prus najoryginalniejszym umysłem swego pokolenia. Jego prawdy, to nie są prawdy, któreśmy wszyscy bez niego wiedzieli — to są prawdy, które tylko on wiedział. Jego hasła to nie są utarte hasła, które się z nowymi wykrzyknikami podaje — to są hasła jego własne, Prusa. Podobnie oryginalne są jego koncepcje twórcze. Być może, że Dickens był jego mistrzem — ale to nie dlatego, aby Prus z Dickensa czerpał, na nim się wzorował, brał z niego angielskie figury i przerabiał je na polskie — rodzaj talentu Prusa był pokrewny rodzajowi talentu Dickensa, sam z siebie i przez się. Mógł Prus na nim talent swój ukształcić, ale go podług niego nie wykształcił. Zresztą w każdym słowie Prusa czuć jego oryginalność, własną myśl, własne uczucie, to uczucie szczerze, proste i głębokie, któremu w literaturze polskiej od Lenartowicza i Kondratowicza niema równego. A jego „Faraon“ jest niewątpliwie jedną z najoryginalniejszych starożytnych powieści świata. Prus nie jest tym pisarzem, który stwarza nowe niebyłe i nieznanne widnokreśli, ale także nie jest nigdy tym pisarzem, który operuje pewnemi, niezawodnemi, wypróbowanemi formami, dając im tylko nowe pozory. Prusa nigdy nie spotyka się na doświadczonego efekcie, ani też nie widzi się go w drodze do niego. Prusa twórczość jest szlachetniejsza i wyższa nad to. Talent wykonawczy doskonalszy w głowie najzupełniej pozbawionej jakiegokolwiek genialnego porywu ducha więcej zachwyca, niż genialne koncepcje przy mniejszej doskonałości wykonania. Prus należy do tej drugiej kategorii pisarzy. Lecz o doskonały talent wykonawczy jest zawsze łatwiej, niż o genialne koncepcje, czego są tak liczne dowody.





Chotów (gub. Mińska, wł. p. Karoliny Niezabytowskiej, sukcesorki ś. p. Michała Łęskiego).

CHOTÓW.

W drugiej połowie XVIII w. przybył na starostwo Lubonieckie w województwie Mińskim, Paweł Łęski z lubelskiego. Starostwo Lubonieckie, znajdujące się na północo-wschód od Bobrujska, a więc blisko ówczesnej granicy Rzeczypospolitej z Rosją, należało do najbardziej zagrożonych posterunków kresowych, lada dzień mogły wkroczyć wojska rosyjskie i objąć kraj w posiadanie. I rzeczywiście, niedługo po naznaczeniu Pawła Łęskiego starostą Lubonieckim, nastąpił pierwszy podział Polski i starostwo zostało zajęte przez wojska rosyjskie. Nie mogąc już mieczem, jako przedstawiciel władzy państwowej, bronić praw narodu polskiego, Paweł Łęski postanowił dowieść, że można ich bronić również skutecznie i lemieszem. Kupił więc pod Mińskiem Litewskim olbrzymie dobra i zaczął na nich gospodarzyć. Dobra Pawła Łęskiego obejmowały klucze: Chotów, Sułę, Tatory, Antopol, Staszynki i parę mniejszych majątków. Wszystkie one po dziś dzień znajdują się

w rękach potomków pana starosty. Pracują oni w myśl swego pradziada nad krajem, nad jego kulturą i dobrobytem.

Podczas burz dziejowych stawali i oni w szeregach wędrowali potem z innymi na Sybir. Nic ich jednak z dziedzictwa wyzuć nie zdołało, ni prześladowania, ni kary dotkliwe. Zostali oni przy swej ziemi, podnosząc kulturę jak jej, tak i tych co na niej pracują. I nic dziwnego, że pod-



Fragment z parku w Chotowie.

czas prześladowań unickich, cała tutejsza okolica, jak jeden mąż pozostała przy dawnej wierze. A jak wyszedł ukaz tolerancyjny, wszystkie wsie okoliczne przeszły na katolicyzm. Wspaniały kościół z kamienia ciosanego w Rubieżewiczach, postawiony po edykcji tolerancyjnej, jest nieśmiertelnym dowodem gorącej wiary ludu tutejszego i jego przywiązania do przeszłości.

Przykład dziedziców włości wielkich znalazł potężny oddźwięk wśród ludu.

A jak kochał lud okoliczny tutejszych dziedziców, dowodem posłużyć może świeży fakt.

Rok przeszło temu, jak właściciel Chotowa, ś. p. Michał Łęski uległ nieszczęśliwemu wypadkowi.

Na pogrzeb zebrały się tysięczne tłumy ludu okolicznego i trzeba było widzieć żal, jakim masę tę żegnał swego obrońcę i ojca, by zrozumieć, czym on był dla nich.

I spoczął on na wzgórzu Chotowskiem, pod rozłożystymi dębami, by stamtąd czuwać nad swym dziedzictwem. Ci, co zostali, w dalszym ciągu, prowadzą wytrwale zbożną pracę przodków na ojczystym zagonie.

A kiedy ręce osłabną im ze znużenia, kiedy duch upadać zacznie, krzepią ich zda się, głosy pradziadów, czuwających z grobów nad swym dziedzictwem: „czuwajcie, bo nie wiecie ani dnia, ani godziny“. I znów wracają siły spadkobiercom starosty lubonieckiego.

ERES.



Tatary pod Mińskiem, wł. spadkobierców p. Zenona Łęskiego.

RÓŻE.

Rozkwitły róże na klombie przed dworem,
Po długich chłodach kwitną — świeże, duże,
Dyszząc upojną wonią — a kolorem
Podobne licom młodym. — Padły wzorem
Pięknym — na piersi klombu — polskie róże...

Chodźmy przyjrzyć się różom... Czas już długi
Radością duch mój wzbierał — róż uśmiechem
W czerwcowe złote dni — gdy woni smugi
Pieściwie skroń oplotły... Przyjdzie drugi
Po mnie — z młodości siłą i pośpiechem...

Chyli się skroń ku ziemi — serce starem
Stać się nie może — mimo ły i burze...

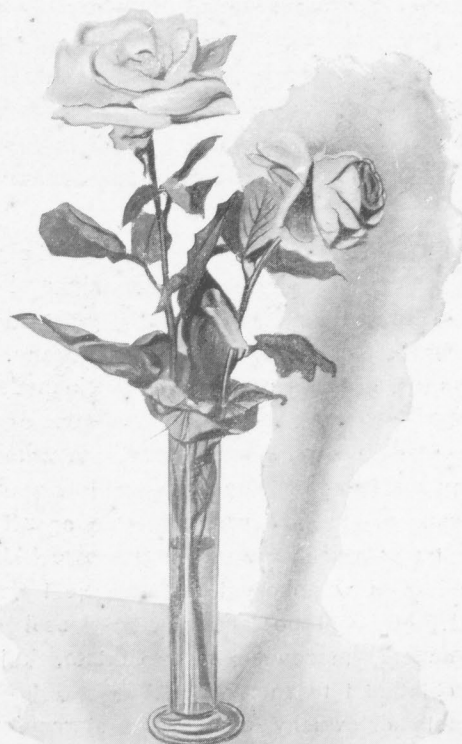
Świat piękny — niebo jasne... Z jakimż czarem.
Przychodzą róż zastępy?... Nad puharem
Wspomnień — wytrwajmy chwilę... Kwitną róże...

Po białych schodach cicho — tam w aleje
Ku różom zejdzmy — tam gdzie, woni kruże
Gdzie czar różanych łon — pąków nadzieje
Czarują wzrok. — Wiatr im korony chwieje
Nie śmiejąc listka zerwać... Kwitną róże...

Ozłote strzały swe czerwcowe słońce
Na skroń schyloną rzuca... Oczy mrużę...
Wizje przeszłości płyną — jako gońce...

Bóg z nami... Duchy my odlatujące...
Młodość i przyszłość czeka... Kwitną róże...

BOŻYMIR.



SIANOKOSY.

O d łąk płynie przez pola, przez płowiejące żytnie i zielone jeszcze pszeniczne łany, przez ciemne zagony kartofli i przez karmionowo szare działy okwitających koniczyń smuga rozkosznej, dziwnie rzeźwej woni...

Poszły kosy, hej! ostre kosy nasze po zielonych łągach i pokładły pokotem młode, bujne trawy wiosenne! Leżą oto w grubych pokosach na szmaragdowej szczytce kośnisk łącznych ścięte rajgrasy i brzanki wysmukłe i wyczyńce i lisie ogony, przerosłe słodką tymotką, splątane pnączem żółtej lupulliny, podszyte koniczyzną czerwoną i białą!

Leżą i pachną!..

Woń od nich idzie miodno-ziołowa, słodka a surowa, rzeźwiąca, a upojna,



do wsi, a rozbija się po ścianach wybielonych „na Świątki“ chałup, a niesie się przez całą polską ziemię hardą nutą, co to własne smutki prześmiewa, cudzej strony nie szuka, swoją tęsknotą nigdy nie syta, a do zagona jak kochanka przypada i uparta zazdrośnie przed obcymi go broni...

Zagrabiły dziewczuchy siano i teraz je kopią.

Jedne staczają pokosy, a drugie je na kopę znoszą, na grabiach duże kłaki siana dźwigając, całe obsypane szaremi źdźbłami suchych traw, wykąpane w ich woni, śmiejące się, zdrowe, ochotne, rumiane...

Jedna na kopisko siano układa. Dziewa jak łania, paciorki i korale aż jej dzwonią na pier-

siach bujnych, kiedy zgarnia wielkie „ocipki“ siana układając je twardo i tłocząc na kopie, na czole rosa stanęła, chusteczka zesunęła się z płowej jak len, z grubemi, jak ręka, warkoczami głowy, a śmieje się, a oczami łyska...

Bo u nas jak już robią, to robią nie na żarty, a jak trafi się robotna dziewczucha to wszystko jej ino furczy w rękę!

I zgrabi siano, i skopi, i na wóz chłopu podać poradzi skoro do zwózki przyjdzie, a jak pawęż linką przykrępuje z chłopem, to już tam ani drgnie fura! jedź z nią śmiało choćby i mil dziesięć!

A jak na stogu czy w szopie „odbiera“, to widły, choćby ta i najcięższe, jak to wrzeczono chodzą jej w rękę; nabierze na nie pół kopy odrazu, przegibnie się w biodrach i „wyda na warstwę“ aż stylisko jesionowe zatrzęszczy!

Taka już była — jest i będzie dziewczucha polska; do roboty i do miski, do kościoła i na muzykę — do pracy i do kochania! do tańca i do różańca!

kieby to wino młode! Rosa je blichuje a słońeczko suszy. I zakwitły na skoszonych łąkach białe koszuły, kraśne spódnice, gorsety wyszywane, chusty wzorzyste i, kraśniejsze o dnich, polskich dziewczuch twarze.

Idą rzędem z grabiami białymi, wyrzuchowanymi od zimy na świeżo, na tę pierwszą letnią robotę — świerczynowe grabiska proste, ostrugane z sęczków migają im w rękach zwinnych, grabowe kłódki zębisk uderzają w pokosy i rozbijają je i trzęsą na słońcu!.. Dzwoni po łące piosnka wesoła krakowska ochotą, mazowieckim smutkiem, kujawiaka pełną obietnic i tęsknicy nutą!..

Grabią dziewczuchy a śpiewają siarczyście, ino to echo leci bez zagony od boru do boru, od wsi



Kocierzowy, pod Piotrkowem. Jeziorko w lesie.

BIJATA (Z PODAŃ LUDU ŻMUJDZKIEGO).

Jeziro Bijata na Żmudzi rozlewa swe wody na obszarze 30-to włókowym, głębokie jest na 16 sążni.

Podłoże jego przypomina dno morskie. Na wiosnę niezrozumiałym przyptywem podziemnym wody burzą się, pienią, występują z łożyska, rozlewając się szeroko.

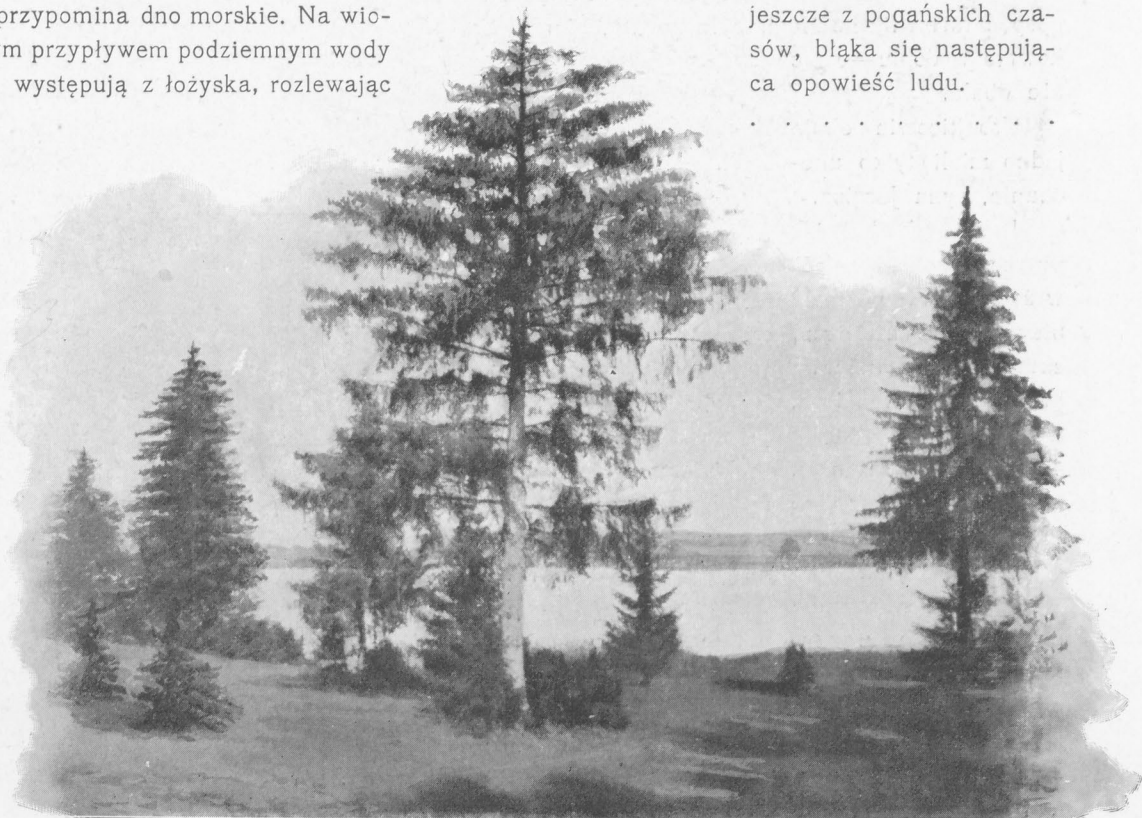
W zimie, pomimo że jezioro zamarza, słychać pod lodem szmer przelewających się wód.

W głębi Bijaty znajduje się wielka ilość ryb różnego gatunku.

Rybacy łowiący je opowiadają, iż nieraz w niewodzie szarpie się potworna

ryba, która budzi przestach, rzucają sieci, a nawet wolą je stracić, byle nie ujrzeć zjawiska, które przynieść im może nieszczęście. Nad tem jeziorem

jeszcze z pogańskich czasów, błąka się następująca opowieść ludu.



Jeziro Bijata.

Urbajtis był bogatym właścicielem dużego obszaru urodzajnej ziemi. Zagroda jego z całym obejściem, stała nad samym jeziorem. Liczne trzody bydła, owiec, pasły się na wonnych polanach wśród lasów. W wielkich szpichlerzach przechowywano zboże wymłócone, przywożone do mielenia z okolic.

W owe czasy nieznano młynów wodnych ani wiatraków do mielenia zboża, używano żarn.

Przy żarnach stali silni ludzie najmici, którzy nietylko dnie całe, ale nawet noce pracowali. Urbajtis za mielenie zboża dobrą brał zapłatę, zwano go też bogatym młynarzem; ale i to mu nie wystarczało. Zajmował się też przemycałnictwem z niedalekiej granicy pruskiej. Zbyt towarów tych przynosił coraz to nowe korzyści.

Mówiono, że w skrzyniach malowanych znajdowało się wiele złota i srebra, które gromadził skrzętnie Urbajtis. Wiedziano jednak, że ów bogacz był nieużyty skąpcem, chciwym na grosz cudzy.

Nigdy żebrak nie otrzymał od niego jałmużny, głodny pokrzepienia, nieszczęśliwy słowa pociechy. Serce młynarza nie znało litości. Żona jego również była nieczuła na nędzę ludzką, a głównym zajęciem jej było strojenie się w suknie, z owych bogatych materji przywożonych z obcych krajów, obwieszala się łańcuchami złotymi, sznurami koralu, lub bursztynu. Męża bała się, we wszystkim spełniała wolę jego, ulegała każdemu rozkazowi.

Siadywała przed domem z założonemi rękoma, bo i nacóż miała pracować, zastępowały ją około gospodarstwa liczne sługi, była bogatą, nic nie brakowało w domu—o nic nie dbała.

Urbajtisowie oboje jedno mieli tylko ukończenie, syna Jurgisa.

Jedynak był ich szczęściem, celem w życiu i chlubą. Dla niego ojciec zbierał skarby, matka hołubiła kiedy był dzieckiem, a skoro dorósł, chlubiła się dorodnym synem.

Niezwykły też był to młodzian, syn bogatego młynarza.

Wysoki, silny, niby dębczak młody, wyrosły wśród lasów, łączył w sobie odwagę męską z łagodnością kobiecą.

Twarz ogorzała, tchnącą zdrowiem, okalały ciemne bujne włosy, takież wąs wił się ponad rumianą wargą, broda dodawała męskości rysom o szlachetnym wyrazie. Jednym słowem, Jurgis ślicznym był chłopcem.

W chwili, kiedy zaczyna się to opowiadanie, ojciec myślał o ożenku syna, który kończył lat dwadzieścia.

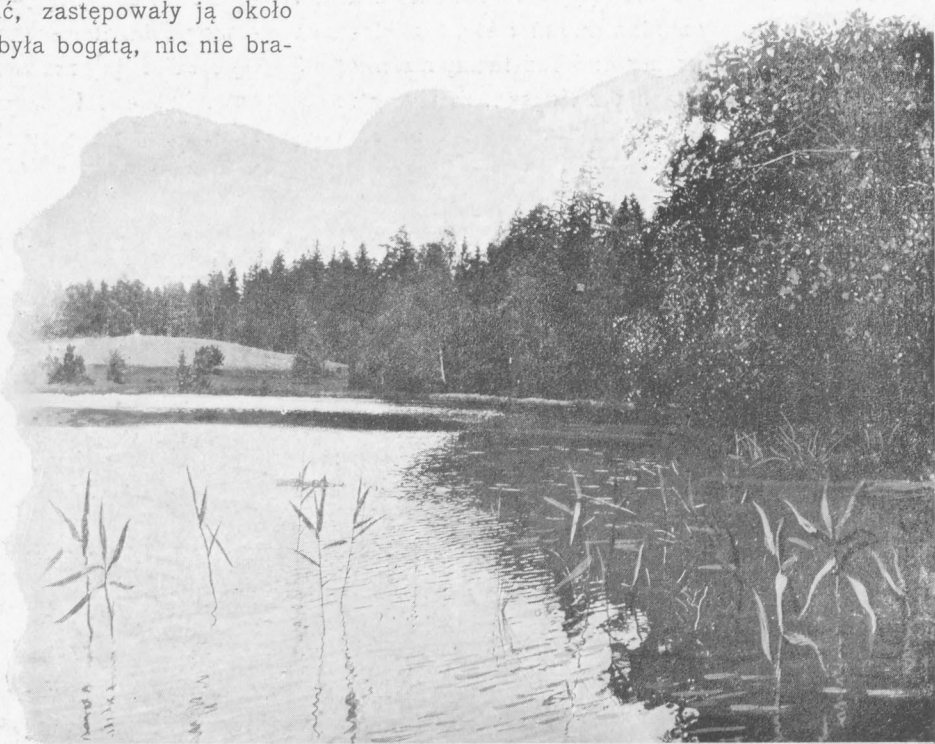
Młynarz obliczał własne bogactwa, ale te mu nie wystarczały, pragnął, aby syn wybrał sobie równie zamożną towarzyszkę, którą już był z dawną upatrywał w sąsiedztwie niedalekiem. Wiedział, że jedynaczka Karusia otrzyma nietylko bogate wiano, ale i całe obszerne gospodarstwo po śmierci rodziców. Nie obchodziło go to wcale, że owa Karusia była nieładna, zeszpecona ospą i na jedną chorowała nogę. Nie pytał syna o przyzwolenie, tak postanowił stary Urbajtis i tak być musiało, dotąd, nikt nie oparł się jego wszechwładnej woli, nie przypuszczał też nawet, aby syn się na to nie zgodził.

Lecz zapomniał, że serce nie sługa i nakazać mu uczucia nie można.

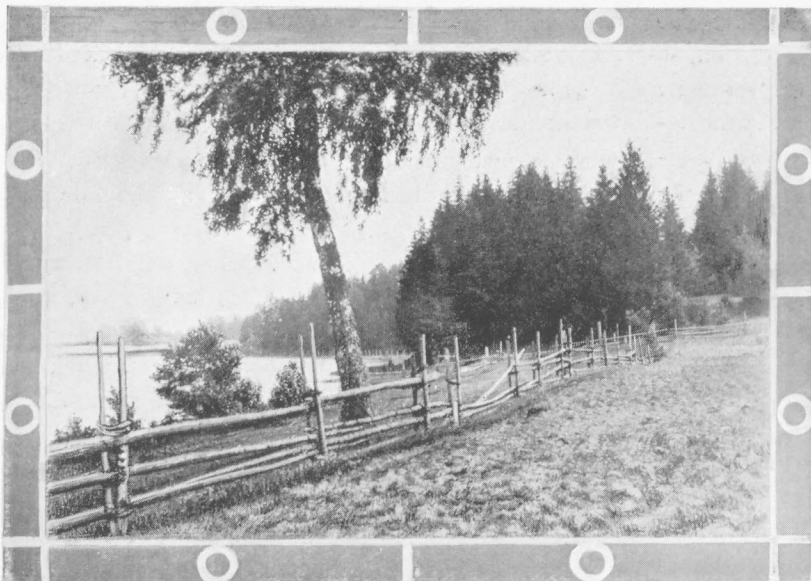
Z drugiej strony jeziora, na skraju lasu gęstego, stała chata uboga, a w niej mieszkała wdowa po drwalu.

Zwano ją Weronikas.

Męża jej zabiło drzewo przy ścinaniu. Nieuważnie stanął ze strony, w którą miało spaść i cięża-



Wschodni brzeg jeziora Bijata.



zuru, zdały się odbiciem niebios pogodnych, włos długi, złoty, spletała w grube warkocze, nad czołem układając. Lśnił się w odbłasku promieni słonecznych, tworząc królewską koronę. Lica jej płatkami lilji się zdały, takie były białe i gładkie, a usta szkarłatnej róży odbiciem.

Młoda dziewczyna prawie nigdy nie uśmiechała się. Ciężki smutek przywarł do wyrazu twarzy, odbijał się w spojrzeniu, nie dziwota, Bijata straciła tak wcześniej ojca, ukochanego braciszka, a boleść niewidomej matki przepełniła jej serce. Całymi dniami

przędła pajęczą lnu nitkę. Niosła motki do pobliskiej osady, gdzie za pracę swoją otrzymywała żywność.

Niełatwe życie było w tej ubogiej chacie, a jakkolwiek uroda dziewczyny zwracała ku niej oczy, serca i niejedni z chłopców rad byłby pojąć ją

rem swoim przygniotło nieszczęśliwego na miejscu, powodując śmierć.

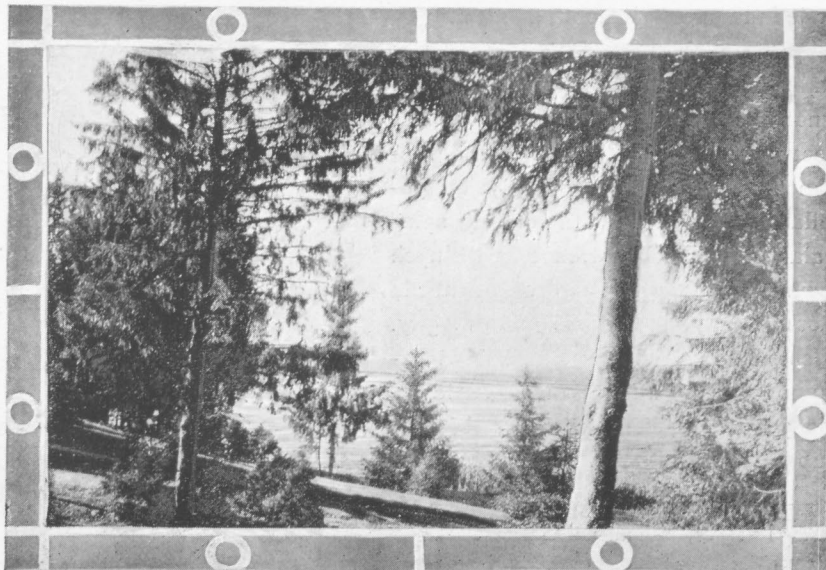
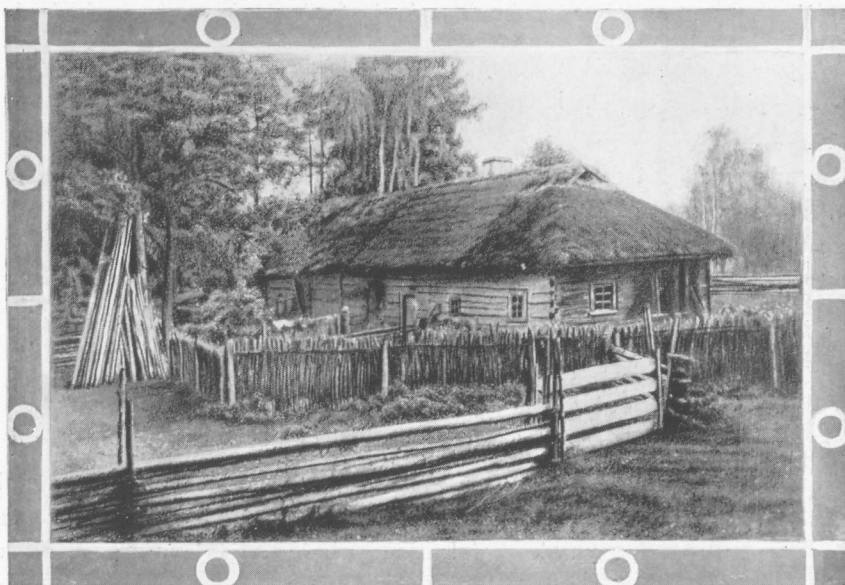
Za ojcem pobiegł był i synek jedenastoletni i jego korona dębu dosięgła, gruchocząc mu obie nogi. Biedne dziecko! długo chorowało, w rany wdała się gangrena — chłopak w strasznych cierpieniach umarł. Nieszczęśliwa wdowa po podwójnej stracie męża i synka, chodziła na mogiły, rzucała gałęzie, sypała ziemię, płacząc dzień i noc bez ustanku, a łzy te gorzkie, wypaliły jej wzrok, zaniewidziała.

Jedyną pociechą i podporą samotnicy była córka Bijata.

Urocze to dziewczę kończyło szesnastą wiosnę.

Śliczna, niby kwiat świeżo rozkwitły, podobna do owej młodej topolki co rozwija się do życia, do słońca, do szczęścia.

Wzrostem wyniosła, nad inne wybiegła rówieśniczki, oczy z la-



za żonę, to jednak, dostojna powaga i skupienie w samej sobie, onieśmielały wszystkich.

Kiedy przechodziła przez wieś wskazywano na nią—mówiąc: „Nie wygląda że to dziewczę na księżącą córę Germontów? Chyba przy urodzeniu łaskawa Milda*) uposażyła ją tak hojnie urodą, postawą iście królewską“.

Nie często jednak można było widzieć Bijatę. Nieopuszczała niewidomej matki, dla której była aniołem opiekuńczym. Prowadziła ją na ukochane kurhany, do lasu, lub nad brzeg jeziora, aby niešťczęśliwa odetchnęła ożywcem powietrzem. Zamyślonę dziewczę wtedy patrzyło w głębie wód, goniąc na przelewających się falach, odbicie własnej postaci.

Zdarzyło się, że Jurgis spotkał raz dziewczynę w czasie tej przechadzki i myśl jego odtąd przylgnęła do czarownego obrazu, który zapadł głęboko w serce, na zawsze... Czyżby mu była podała przy poznaniu ów gwoździć strzępiasty, różowy, który u nas lud zwie firletką, a na Litwie i Żmujdzi Gasztwą? ową roślinę, jedną z owych lubystków tajemniczych, budzących niegasnące uczucia?

Tak mówili ludzie, ale czego też oni nie splotą! To tylko wiedziano, że przy każdym ukazaniu się Bijaty, kiedy opuszczała leśną ciszę, spotkać musiała syna młynarza, który wysuwał się z za drzew, witał dziewczynę schyleniem głowy, tęsknem spojrzeniem, poczem usuwał się, nie przemówiwszy słowa.

Bijata oglądała się trwoźnie, przyspieszała kroku, jakby uniknąć chciała tego spotkania, po rumieńcu jednak, który oblewał twarz jej młodą, po westchnieniu i niepokoju poznać łatwo było, że i jej Jurgis, nie był obojętnym; dziewczyna kochała!

Trwało to rok przeszło, młodzi nie zblżyli się do siebie, znali się mało, a jednak nie byli sobie obcymi.

Matka Bijaty zatopiona w swym żalu, nie mogła zapomnieć strat doznanych. Dokuczało jej nietylko kalectwo ślepoty, zapadła w cichą melancholję. Coraz mniej mówiła, goniła myślą niepochwytne obrazy, splatała i rozplatała wieńce z leśnych kwiatów i paproci, które przynosiła córka, aby je rzucać na mogiły. Uspakajała się, kiedy Bijata dzwiecznym głosem nuciła pieśni śpiewane przy obrzędach na cześć bogów, lub na wyścigi ze słowikiem na wio-

snę, śpiewała pieśń czarowną, tak uroczą, że wszystkie listki drżały na drzewach radośnie, a gwiazdy wieczorną porą, zdawało się, mrugały w takt harmonijnej melodji.

Śpiewu tego słuchała nietylko niešťczęśliwa Weronikas, nietylko bezmowna natura, ale i rozmiłowany Jurgis.

Młodzieniec przy skłonie dnia wykradał się z rodzicielskiego domu, biegł w las za jezioro, pod chatę wdowy, słuchał, tęsknił i cierpiał.

Bo i jakże nie miał cierpieć, kiedy wiedział, że nieubłagany ojciec nigdy nie zezwoli na związek z ubogą córką drwali.

Wiedział, że inną przeznacza mu żonę zniędną, dla której nosił w sercu żal i wielką niechęć. Jakież mogło być bowiem porównanie upośledzonej od natury Karusi z Bijatą, jedną z najpiękniejszych dziewcząt Żmujdzi.

Pewnego wieczora, a było to na początku maja, kiedy bogini wiosny, Melitele, rozsiała na nowo uroki swoje, budziła naturę ze snu zimowego tchnieniem łagodnego wiatru, umiała zielenią las, przetkała mech fjołkami leśnymi i szeroko rozścielającą się paprocią, Jurgis i Bijata spotkali się na polance za chatą.

Już Ausza (bogini zachodzącego słońca) schodziła ku ziemi, słała pożegnanie chatom, ostatnim zabłysła promykiem i zgasła, a na jej miejsce zstępować zaczęła noc, kładła cienie na milczący las i senne drzewa:—rozsypywała ziarnka makowe, zniewalając ludzi i naturę całą do snu.

Rozsiała na nieboskłonie migotliwe światelka w postaci gwiazd, zapaliła lampę księżyca. Twarz jego uśmiechnięta patrzyła z za konarów, z za



Stara, pochylona burzą sosna, nad falą Bijaty.

*) Milda, bogini miłości żmujdzka — Venus.

krzaków ciekawie na ziemię i na tych dwoje młodych, którzy w wieczornej godzinie ślubowali sobie dozoną wierność.

— Jurgisie, mówiła Bijata cicho i rzewnie, a każde słowo jej dźwięczało w sercu chłopca, jak cudna muzyka — wiem, że mnie kochasz, i ja Kocham ciebie bezgranicznie, niczyją nie będę, przysięgam, ale i twoją być nie mogę. Okrutna dola zawisła nad naszą chatą, w niej szczęścia być nie może! Czarna kukułka wypukała nad kolebką moją godzinę urodzin, ale i wczesnej śmierci.

Nie wiąż o luby mój doli swej jasnej z moją, bo niezaznasz radości.

— Chcesz chyba, abym się ożenił z Karusią — pytał zrozpaczony Jurgis.

— O nie! odrzekło dziewczę, ale ojciec twój nie dozwoli, abym weszła pod dach jego, jako żona twoja, nie przygarnie biednej sieroty.

— Cóż więc począć, co? — biadał zrozpaczony chłopiec.

— Ha... chyba trzeba ci się ożenić z Karusią, zawołała z przekorą Bijata.

Jurgis skoczył jak oparzony.

— Nigdy, przenigdy! — zawołał gwałtownie. Przysięgam na wszystkie bogi, a głównie na potężnego Perkunasa, że tylko z tobą ukochana złączę los mój na wieki, choćby był najniezwyklejszy — lub z żadną.

Bijata zbladła, drżąc cofnęła się i zawołała z boleścią:

— O czemuż nierozważny, zbudziłeś bogi? czemu wyrzekłeś przysięgę, za którą będziesz musiał odpokutować? One żądają ofiary, a ofiary te wzięły już w rodzinie naszej i brać nie przestaną dotąd, dokąd w niej pozostanie ostatnia jednostka!

Dziewczyna zakryła twarz, chwilę stała w nie-mej pogrążona boleści; po chwili postąpiła ku chacie i usiadłszy w pobliżu pod rozłożystym drzewem na darni, wskazała miejsce młodemu obok siebie i tak mówić zaczęła:

— Posłuchaj Jurgisie, dziejów mojej rodziny, a wtedy zrozumiesz, dlaczego tak bardzo jestem nieszczęśliwa.

Ojciec mój pochodził z rodu szlacheckiego Kuni-gasów. Od wczesnej młodości poświęcili go rodzice służbie bogów, oddali pod opiekę kapłanów otaczających Krewe-Krewęjtę*).

Tam hen, w głębokiej puszczy, jest gaj poświęcony na cześć Perkunasa, w którym nigdy nie gąsnący tleje Znicz.

Ojciec mój przebył wśród ich grona do lat dwudziestu kilku. Odnaczał się niezwykłą pobożnością i znajomością nauk, otrzymywanych od mądrych Krewe (kapłanów).

Zdawało się, że pozostanie wśród nich na zawsze i przyjmie ostatnią suknię poświęconą, która mu była przeznaczona, — kiedy zaszły nieprzewidziane wypadki.

Milda rzuciła w serce młodzieńca zarzewie gwałtownej nieprzemожonej miłości, do jednej z dziewięciu strzegących Znicza, a pewność, że i ona również pokochała go całą mocą duszy, zmieniła jego zamiary.

Z początku oboje walczyli ze wzmagającym się uczuciem, ale nadaremnie. Rosło ono, potęgowało się z dniem każdym, wobec niedających się zwalczyć przeszkód.

MARJA KACZKOWSKA.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Arcykapłan pogański.

TUŁACZE.

Któraż ziemia ich niezna? Jacyż ludzie niewidzieli jeszcze tych smagłych twarzy, w których ukryta, dzika jakaś, nienawistna duma drzemie pod maską chytryści? tych oczu żarzących się jak karbunkuły z pod brwi sobolich i tych włosów czarnych jak krucze skrzydło o granatowym połysku?...

Wszystkie oni przedpełniali już kraje, od świtu dziejów starej Europy, wciąż na tułaczym chlebie, z miejsca na miejsce wędrując idą tak koczowniczym szlakiem w dal nieznanego jutra bez domu, bez ziemi własnej, bez ojczyzny i bez wiary w przyszłość...

Co im jutro! niczego się zeń nie spodziewają! takie będzie jak wczoraj, jak dni minionych setki

tysiące i miliony... jutro — nowa tułaczka po starych, od wieków cygańską stopą wydeptanych szlakach...

Całe życie, cały byt, w tej tułaczce. W kawałku z trudnością zdobytego chleba, w piosence dzikiej, niezrozumiałej, co z nad ogniska koczowniczego razem, z kłębam dymu w nocy ulata, w nędzy dumnej z łachmanów, w stoicznej nieczułości na wszelki brak i cierpienie.

Za parjasów uważają ich wszędy, odkąd z doliny Nilu puścili się w tę bezkresną wędrowną potomkowie ci starych Koptów.

Oni też nienawidzą „gadziów“ — ludzi białej cery, wierzą że Bóg — wielki „Mroden-oro“ przysłał ich na świat na zgubę, na klęskę, na niszczenie tych „gadziów“. Gdzie tylko „werden“ swój,

wóz podróżny, rozbijają stare cyganichy, wróżą i straszą wróżbami, chwytają dzieci i co się da „rajom“ (panom) kradną, a czarnookie „egaszi“ (kobiety) palą oczami i zwodzą, przepalają serca trucizną swych wdzięków dzikich.

Między sobą nazywają się „Romami“, potomkami „Errumanse-lów“ i rozmawiają w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał ani się nie wyuczył, bo zmienia się on umyślnie, jak wąż, barwiąc się coraz inaczej i jak wąż sunąc pod trawy

i liście od ludzi. Któż tam wie ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek stworzyło tę mowę plecioną z dźwięków najdziwniejszych! może w niej brzmiały jeszcze wyrazy robotników co wołali na siebie z wierzchołka wieży Babel!.. może dźwięczy zaklęcie kapłanów Brahmy lub Ozi-risa... któż to odgadnie?..

Mistrzami są w kowalstwie — namiętnie lubią muzykę i który grać umie, to duszę i siebie całego wygrywa na skrzypkach! Ale miejsca nie zagrzeją nigdzie.



Przy muzyce.

„Szatrę“ swoją (namiot) pod byle „kasztem“ (drzewem) rozbijają, „kakabię“ (kocioł) nad „jag“ (ogień) zawieszają „mandru“ (chleb) „toń“ (sól) i „targimom“ (wódka) dobędą, „trast“ (kowadło) narządzą i biorą się

„Romy“ za robotę, a „egaszi“ (kobiety) wróżą, a „raklory“ (dziewczyny) wabiają...

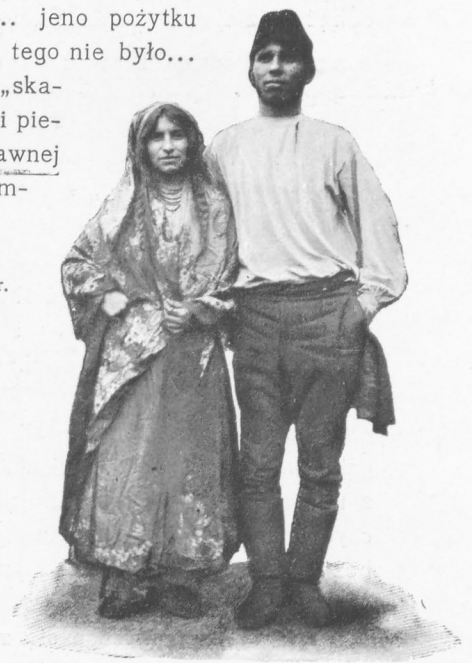
„Ciurawa“ (kradzież) im zwyczajna. Być „ciurachanem“ (złodziejem) honor to u nich i od „szukeli“ (psa) wymyślają takiemu „ciajowi“ (dziecku) co kraść nie po-

trafi. O „bucaki“ (suknie) ani „plasty“ (okrycie) nie stoją. Nie lękają się niczego, nawet „Bynka“ (szatana) — respekt znają tylko przed „Mutesoro“ (śmiercią), a „Dados“ (wódz) jedynym panem i władzą gromady.

Zna tych tułaczy polska wieś dobrze! W życiu jej i oni mają kartę osobną. Zmiejszała się nieraz tułacza krew „Romów“ z jasną krwią ludu naszego... jeno pożytku ni szczęścia nigdy z tego nie było...

Legend tylko i „skazek“ powstało wiele i pieśni smutnych, o sławnej Azie, cygance i Tumrym, nieszczęśniku.

Mr.



„Raklora“ i „Puza“ (dziewczyna i kowalczyk).

GDZIE PRZYCZYNA?

Opowiadał mi kiedyś jeden z warszawskich księgarzy-nakładców, że najlepsza klientela jego księgarni rekrutuje się wśród mieszkańców tak zwanych prowincji zabranych.

Goście z Ukrainy, Podola, Wołynia — z Litwy, z Białej Rusi, z Inflant nawet, przybywszy do Warszawy, nigdy nie zapominają wstąpić do tej lub owej księgarni, zapytać się o ostatnie nowości i wybrać z nich sporo. A nawet ci, co nie przyjeżdżają częściej do Warszawy, wypisują ztąd książki, nierzadko całymi pakami. Nakłady poczytnych powieści, poezji, nowel głównie, rozchodzą się poza granice Królestwa.

Pisma wszelkiego rodzaju wychodzące w Warszawie, prócz pewnych, lokalnych, o wyłącznie miejscowym charakterze, znajdują też w prowincjach zabranych daleko silniejszy kontyngens prenumeratorów niż w Królestwie. Zwłaszcza prasa perjodyczna — tygodniki, dwutygodniki, miesięczniki.

Czem się to dzieje?

Wszak zaludnienie w Królestwie jest gęstsze, stosunek analfabetów tu niższy, ludności rdzennie polskiej, czytającej i mającej chęć czytać, więcej zatem chyba powinno być w Królestwie niż gdzieindziej?...

W dodatku zważyć jeszcze trzeba, że cały prawie ruch literacki i wydawniczy ogniskuje się w Warszawie. Tutaj przeważnie mieszkają ludzie piszący, tu głównie drukują swoje utwory, z tutejszego życia czerpią najwięcej może tematów do ich fabuły, tła, do rysunku charakterów działających postaci — a wszystkie te czynniki złożone właśnie w jeden centr kultury najsilniej powinny by promieniować na okolice bezpośrednio przyległe, zatem w pierwszym rzędzie na dziesięć gubernji Królestwa.

A jednak — tak nie jest.

Królestwo czyta naturalnie także. Nie można powiedzieć, żeby stosunek zapotrzebowania książek i pism w ostatnich kilkunastu latach się nie podniósł w porównaniu z tem, co było dawniej. Ale — w porównaniu z rozwojem czytelnictwa w prowincjach zabranych, na Litwie, na

Białej Rusi i na nadbałtyckich kresach, a nawet wśród zamieszkałych w Rosji rodaków naszych, czytelnictwo to jest słabsze, wbrew wszystkim z okoliczności naturalnych i rzeczywistych wyciąganym wnioskom. Rzecz prosta — przypisać to jedynie można brakowi chęci czytania.

Czyż społeczeństwo nasze aż o tyle biedniejsze jest od ziomków z poza granic dziesięciu gubernji, że na książkach i pismach robić chce oszczędności? Nie. Oddawna wiadomo, że taka paru czy kilkunasto-rublowa oszczędność nie zaważy, nie może zaważyć w budżecie ludzi dość chętnie przekraczających miarę swych środków przy każdej zdarzającej się do rozrywki i zabawy okazji.

Więc chyba czytania za rozrywkę i zabawę, ani nawet za potrzebę kultury nie uważają ludzie?...



Najmłodsze pokolenie.

Tak. Lubimy dużo o naszej kulturze mówić i lubimy wierzyć, że ją posiadamy istotnie. Nie lubimy tylko dawać dowodów na to. Zamiłowanie do rozmowy przechodzącej w gawędę jest u nas tak silne, tak bardzo wyczerpuje nasz intelekt, że nie lubimy już trudy się czytaniem. Wystarcza nam poznawać bieżące zdobycze nauki i wiedzy z artykułów, a częściej z notatek przeczytanej w kawiarni, lub w domu, przy herbacie, gazety. Wystarcza nam znać utwory literatury współczesnej z okładek, z rzutu oka na księgarskie witryny. Jeżeli jeszcze trafi się jaka sensacja!.. jakiś głośny, tłómaczony romans!.. albo powieść, w której podobno autor sфотографował znane osobistości. A już szczególnie jeżeli książka jakaś zdobyła sobie reklamę tematem, lub sposobem obrobienia, go o jakim się głośno nie mówi. O! wtedy się ją kupuje! albo, jeszcze chętniej — pożyczają się ją od znajomych.

To tak jak z sensacyjnymi dodatkami nadzwyczajnymi do gazet. Tak, jak z teatrem. Kilka tysięcy osób chodzi do teatru stale, na każdą sztukę, nawet na wznowienia znanych już rzeczy, a reszta poznaje sztukę nie ze sceny, ale z recenzji, a głównie z opowiadań.

Tak samo jest z literaturą, z czytelnictwem.

Obojętność dziwnie zaduwała w sobie króluje wśród społeczeństwa naszego coraz szerzej, coraz potężniej. Rozszerza się ona i na inne horyzonty działalności umysłowej.

Oto świeżo zaszedł tu u nas taki np. fakt.

Trzech poważnych, znanych w kraju obywateli umyśliło założyć na Kujawach stowarzyszenie przemysłowo-komunikacyjne celem otwarcia dla rolniczej i przemysłowej ekspansji tych bujnych i żyznych okolic nową drogą do rynków wielkoświatowych. Chodziło o połączenie jeziora Gopła za pomocą kolejek podjazdowych z linią drogi Wiedeńskiej idącą ku Aleksandrowi i z rozrzuconymi w tym kącie kraju cukrowniami.

Inicjator tego projektu, pan A. Chrząszczewski, przeprowadziwszy wszystkie prace przygotowawcze,

daremnie szukał w kraju kapitałów do utworzenia spółki zapowiadającej oczywiste i niechybne zyski nie tylko dla akcjonariuszy, ale i dla krajowego gospodarstwa. Nad projektem jego kiwano głowami, a skoro udał się z nim za granicę — nawiasem mówiąc do Paryża i Belgji — zakrzyknięto nań w pewnym piśmie, że chyłkiem wprowadza pruski kapitał do kraju, rozmyślnie unikając zaangażowania w to korzystne przedsięwzięcie funduszy miejscowych, polskich. Pan Chrząszczewski naturalnie zarzut ten należyście odparł, ale przytem właśnie pokazało się wyraźnie, że projekt, który odrazu znalazł chętny

posłuch i kapitał zagranicą, w kraju spotkał się z ogólną obojętnością.

Oh, ta obojętność!

Cóż za okropne, zimne, puste słowo!

Spada ono kamieniem wszystkim na piersi, chociaż niema właściwie ani kamiennej powagi, ani odrobiny majestatu kamiennego stylu! ma jednak pustkę straszliwie ciężką, próżnię uczucia, co waży jak głaz!

wieje zeń lodowate zimno, co ścina każdy zapał, każdą inicjatywę, w którego beznadziejnym tchnieniu więdną wszelkie kwiaty — zarówno te, co mozolnie kiełkują z zagona pracy społecznej, jak i te, co wystrzelają z duszy jako posiew uczuć!

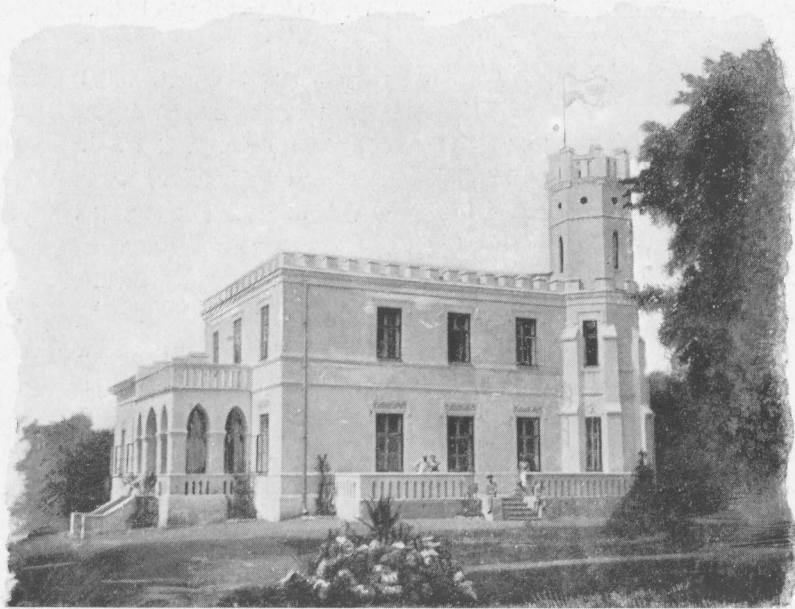
Martwota i sen. Bierność i gnuśność.

A! są stowarzyszenia, związki, organizacje zawodowe, jest praca ekonomiczna! A tak. Woły pracują także. I od wołów wymagają ludzie jeszcze tylko mięsa. Wół nie chodził śladem Prometeusza po ogień do nieba. Człowiek poszedł, wrócił z ogniem i gasi go teraz. Czy mu już za gorąco?

Jest na to tysiąc odpowiedzi i niema żadnej. Niema żadnej — bo każda z tych tysięcy obejmuje tylko przyczyny cząstkowe, o których oddawna wszyscy wiedzą, które w każdym społeczeństwie istnieją w większym lub mniejszym stopniu, ale które nigdzie nie pociągają w skutkach swoich tak wielkiej, powszechnej, solidarnej obojętności, jak właśnie u nas.

Więc gdzież leży jej przyczyna główna?

J. OSTOJA.



Cianowice, pow. Olkuski gub. Kielecka. (wł. sukcesorów Br. Dobieckich).

EDWARD SŁOŃSKI. OSTATNIA PIĘDŹ. (CIĄG DALSZY).

Siedzieli nawprost siebie dziwnie do siebie niepodobni, choć byli braćmi.

Karol napełnił drugi kieliszek i odsunął bułkę aż pod samowar — zdawało się, że się broni przed trzecim. Andrzejowi naraz zrobiło się niewymownie smutno — wiedział, że Karolowi szkodzi wódka, nie wiedział jednak, że Karol pije. Dziś przekonał się naocznie. Chciał o coś pytać Karola, ale milczał. Z kątów tego niskiego pokoju powychodziły jego młode radości i smutki i stały między nim a Karolem. Siedział w cichym, starym domu, otoczony głosami, których tyle lat nie słyszał i widział wszystkie zmiany, które przeszły przez te długie lata jego nieobecności w Norach. Raził go w tym pokoju kawalerski nieład zakurzony i szary, nieład, którego nigdy tu nie widział i który dziwnie nie pasował do niskich bielonych ścian starego, szlacheckiego dworku.

Myśl jego biegła po pokojach, które znał na pamięć. Za nim był pokój jego rodziców — stały tam ongi dwa jesionowe łóżka i orzechowa toaletka matki. Nad łóżkiem ojca wisiał staroświecki rapir i zwyczajna oficerska szabla. Pamięta klingę tej szabli poszczerbioną i zardzewiałą...

Na prawo od tego pokoju był pokój bawialny o dużym weneckim oknie, do połowy zasłoniętym dzikim winem pnącym się po sztachetach ganku.

Dalej szły pokoje gościnne — duże, prawie puste, pełne łóżek zakrytych kołdrami bez poduszek. Okna ostatniego z nich wychodziły na ogród.

Dziś pokój rodziców zajmował Karol, w bawialnym jeszcze przed czterema laty wszystko było po dawnemu. Stał fortepian długi, czarny z twardą klawiaturą, bezdźwięczny, nad kanapą wisiał wskakujący do rzeki książę Józef Poniatowski, wyblakła fotografia dziadka i kolorowy Napoleon z rękami skrzyżowanymi na piersi, wyzywający, dumny...

Byli to wszystko świadkowie jego dzieciństwa, jego psot i figlów.

Spojrzał na Karola i oczy ich spotkały się. Siwe oczy Karola były zmęczone i patrzyły z pod nabrzmiątych, czerwonych powiek, jak przez mgłę.

— Więc po coś mnie wezwał? — zapytał Andrzej nieśmiało.

— Wezwałem... to prawda... chciałem, żebyś wszystko wiedział... wszystko.

— Ale co mam wiedzieć?

— Poczekaj chwilę... bądź cierpliwy...

Wstał i podszedł do biurka. Chciał



W lesie. (Z letniska w Kocierzowach pod Piotrkowem).

otworzyć szufladę, lecz widocznie zaniechał zamiaru, bo po chwili znowu usiadł za stołem.

— Zaraz się dowiesz... Opowiem ci wszystko od początku, żebyś wiedział wszystko...

Sięgnął ręką po butelkę i nalał trzeci kieliszek. Andrzej zaczął ogarniać niepokój. W niedomówionych słowach kryje się zwykle jakiś dramat.

— Po co on pije? — myślał.

A Karol wypił wódkę i postawił kieliszek na stole.

— Czy ty korespondujesz ze Stefanem? — zapytał nagle zmienionym głosem.

— Pisujemy do siebie, ale rzadko. Listy idą długo, zauważyłem nawet, że nieraz giną w drodze. Ostatnio już prawie cztery miesiące nie miałem od niego żadnej wiadomości.

— A ja miałem...

Urwał i zamyślił się. Andrzejowi wydało się, że Karol musiał chyba otrzymać jakąś nie dobrą wiadomość od Stefana, skoro dlatego wezwał go tu, telegraficznie, do Nor. Zdziwił się też i ucieszył, gdy Karol wybuchnął po chwili:

— Mnie się zdaje, że Stefan zwarjował. Wyobraź sobie — Stefan chce uciekać... Jak ci się to podoba?

Andrzej patrzył na niego ze zdziwieniem. Nie było w tem nic warjackiego.

A Karol unosił się coraz bardziej i prawie krzyczał:

— Zamiast siedzieć spokojnie i czekać amnestji, ten warjat chce uciekać... Czy ty to rozumiesz? Uciekać po to, by stać się wiecznym tułaczem-emigrantem, by nędzę swoją po Europie rozwłóczyć...

Drżącą ręką napełnił znowu kieliszek i wychylił od razu. Przytem sapał i chrząkał coraz głośniej.

— Żał mi go doprawdy — mówił po chwili spokojniej. — Niepotrzebnie wzięł się za robotę, która przewyższała jego siły.



Wypoczynek południowy. (fot. amat. J. hr. Potockiego z Bendlewa w Poznańskiem.)



*
W czerwcowy ranek.
(fot. amat. z Cjanowic pod Ojcowem, pp. Dobieckich)

Wojować nie każdy umie, walczyć nie każdy potrafi. I co on wywalczył? Siedzi on teraz gdzieś na końcu świata i myśli o ucieczce. To prawda, że tam ludzie nawpół dzicy i że tam ciężko żyć. Co go jednak czeka w Europie, w tej cywilizowanej obczyźnie bez dachu i grosza?

— Masz rację, twierdząc że i Europa będzie dla niego wygnaniem, zapominasz jednak, że Stefan, będąc słuchaczem piątego kursu medycyny, zagranicą skończy uniwersytet.

— Uniwersytet... i ja go skończyłem — i cóż mi z tego?

— Jakto co?

Karol uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Zawsze jesteś marzycielem — zawołał. Cóż mi po tym moim adwokackim dyplomie, gdy wkrótce djabli mnie wezmą wraz z Norami i inwentarzem.

Andrzej nie mógł dłużej usiedzieć na krześle, zerwał się i zaczął biegać po pokoju.

— Dlaczego to mówisz, Karolu, — zawołał nagle, zatrzymując się pod zegarem.

— Dlatego mówię, że tak jest — djabli wezmą i mnie i te Nory, w których wszystko straciłem. A czy ty rozumiesz co to jest stracić wszystko, znaleźć się nagle w łódce bez dna i rzucić z zawrotną szybkością w nieznaną, czarną głębokość oceanu?... Sięgnął po butelkę, nalewając rozlał kilka kropel na ceratę.

— Nie rozumiem Stefana — mówił po chwili — ma jakieś szalone myśli, a ty go bronisz. To wszystko ten nasz dawny, głupi romantyzm, z którego nie możemy się wyleczyć. Wiecznie nas ktoś na coś namawia, do czegoś wciąga. A my wiecznie młodzi... wiecznie niedojrzali... Zaczął bębnić palcami po ceracie. — Pomyśl sam — mówił dalej — co go zaprowadziło na Sybir, czyż nie lekkomyślność i niedojrzałość? Czy w tych jego robotach podziemnych była jakaś podstawa realna? Czy wiedział czego chce? Andrzej milczał. Bolały go słowa brata. Dla niego wygnanie Stefana było czemś świętem, był to podług niego jakiś splendor, który spłynął na nich, jako na braci.

— I ta jego ucieczka to także romantyczność, nic więcej — mówił w dalszym ciągu Karol, widząc, że mu Andrzej nie odpowiada. — Postanowił uciec, wyjechać zagranicę... i nie pomyślał, czy są na to jakie środki.



Typ ludowy z Wielkopolski.
(fot. amat. J. hr. Potockiego z Bendlewa w Poznańskim).

Urwał i patrząc bezmyślnie na mosiężne wahadło zegara, zaczął sapać.

Andrzej spuścił oczy. Jakieś dziwnie przykre myśli obsiadły mu głowę. Długie kolumny cyfr przesunęły się przed jego oczyma i ginęły w wysuniętej szufladzie starego, ojcowskiego biurka. Gdzie się podziały środki, gdzie są pieniądze?

Karol po śmierci rodziców objął w posiadanie Nory obdłużone i źle zagospodarowane, przedstawiające jednak wartość kilkunastotysięczną. Stając się właścicielem Nor, zobowiązał się wypłacić braciom po 6 tysięcy rubli. Z tego Andrzejowi w ciągu sześciu lat wypłacił 5 tysięcy i tysiąc Stefanowi. Potem posyłał mu drobnymi kwotami do więzienia i przez rok na Syberję, ale ile, tego Andrzej nie wiedział.

Teraz przesunęły się przed oczyma jego te cyfry, stanęły obok siebie niepełne i nierówne i zaczęły mówić



Na wodę gąski!

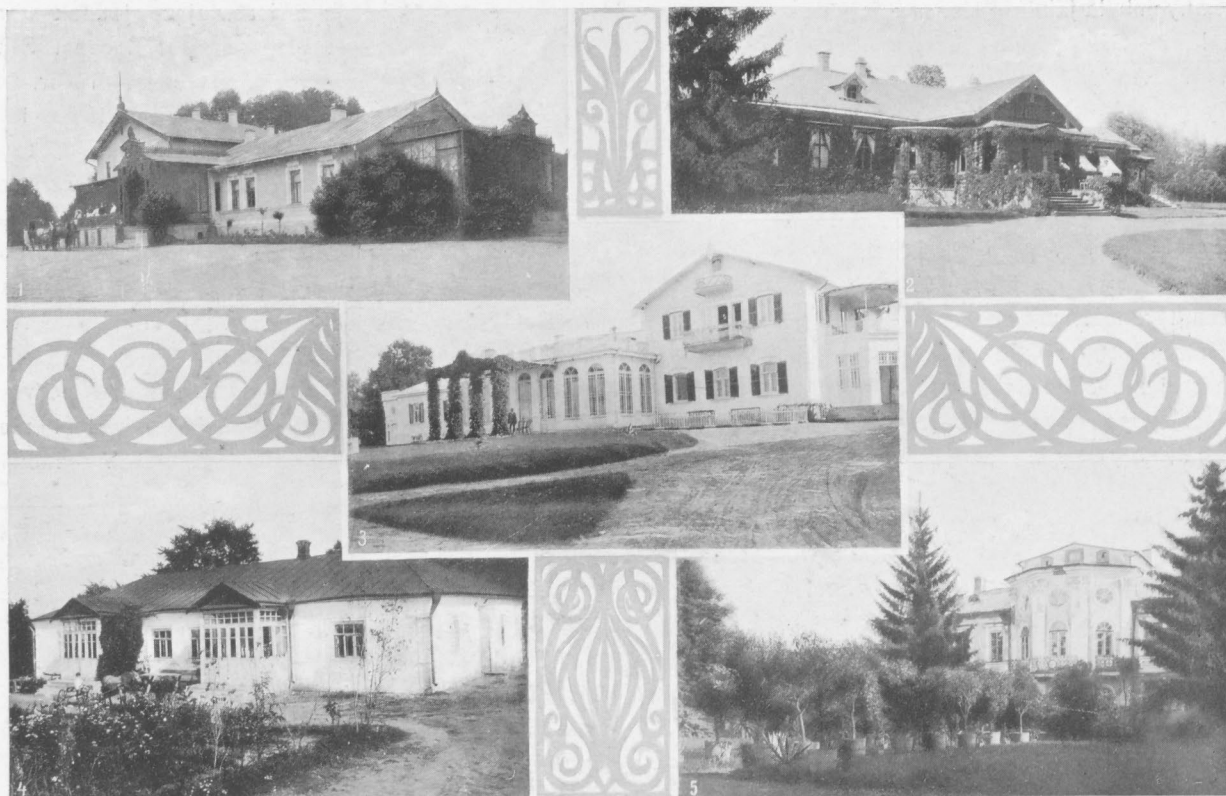
(fot. amat. J. hr. Potockiego z Bendlewa w Poznańskim).

o Karolu dwuznacznie. Siedział ze spuszczonei oczyma i patrzył na poplamioną ceratę... Stefan chce uciec zagranicę, Stefan chce się ratować... Śni mu się w tajdze dalekiej sen o kraju... A Karol nie chce, żeby Stefan uciekał, nie chce, bo musiałby dostarczyć mu na tę ucieczkę środków... Nie, to zbyt potworne!

— Czy naprawdę nie możesz mu teraz nic polecić? — ośmielił się wreszcie zapytać.

brata sprawdzają się. Już niema Nor, tych Nor kwitnących na wiosnę, dalekich i szerokich od lasu do lasu, z niską zieloną łąką pośrodku, ginącą w mchach niskich i pokrytych karłowatą sośniną. Karol z nabrzmiałą twarzą i z nalanemi krwią oczyma jest ekonomem u jakiegoś wzbogaconego ekonomy, Stefan głodny i chłodny umiera z tęsknoty gdzieś na obczyźnie daleko, a on Andrzej Korbut za 78 rubli miesięcznie siedzi w szarym, zakurzo-

POLSKIE DWORY NA KRESACH.



1. Chodorków, gub. Kijowska,
wł. p. Wł. Lewandowskiego
(*fol. p. Podhorodeński*).

3. Kasperówka, pow. berdyczowski,
wł. p. Żmigrodzkiego.

2. Jaropowce, gub. Kijowska.

4. Wychylówka, gub. Podolska,
wł. p. Wyszomirskiej (*fol. p. Zarębski*)

5. Iwnica, gub. Wołyńska, niegdyś
posiadłość Czarnieckich
(*fol. p. Podhorodeński*).

Karol rozstawił ręce bezradnie i zamrugnął nerwowo czerwonymi powiekami.

— Pisze, żebym przyjechał na jego koszt i przywiózł mu 1500 rubli. Podobno inaczej przesłać niemożna, a ja i pieniędzy nie mam i jechać nie mogę.

— Więc dostań.

— Ech! Andrzeju!..

Machnął ręką i zaczął głową kiwać z politowaniem. W pokoju cisza zaległa grobowa.

Andrzejowi otworzyły się oczy. Więc już Karol znikąd pieniędzy dostać nie może. Więc wszystkie jego smutne przecucia o złym stanie interesów

nym pokoiku kolejowego biura, graniczącym z kuchnią, w której mieszka z rodziną woźny Ignacy. Rodzina Ignacego liczna, hałaśliwa — małe, powykrzywiane, blade niemowlęta, chude, niezgrabne wyrostki i najstarsza dziewczyna pracująca w fabryce lamp. Pożal się, Boże!

Nędza przeraźliwa, okropna...

Wszędzie nędza...

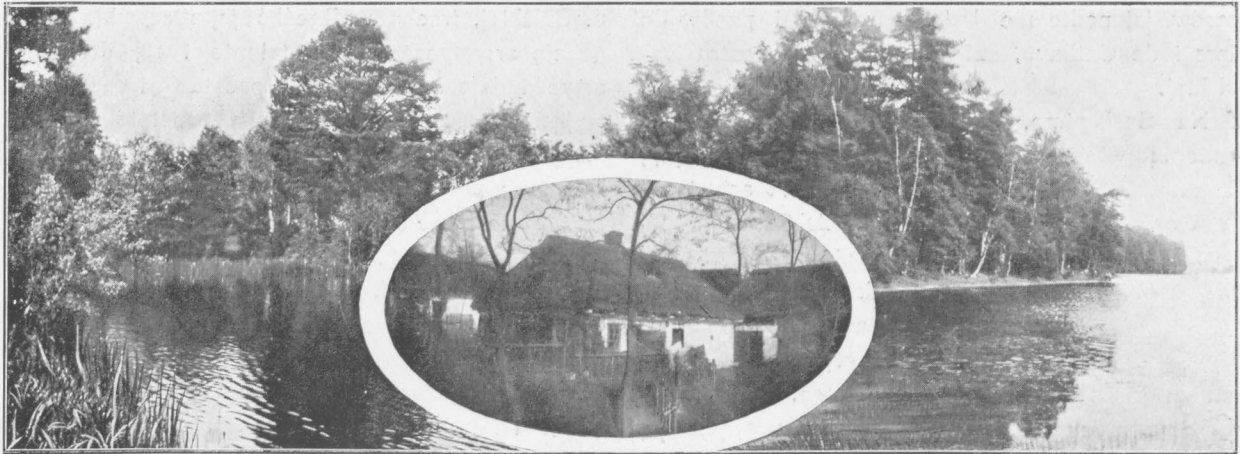
Zegar z mosiężnym wahadłem i z różami na białym cyferblacie wydzwonił dziesiątą...

Andrzej drgnął.

— Więc znikąd dostać nie można? — zapytał.

— Znikąd...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z letniska Kocierzowy pod Piotrkowem.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Maj w teatrze miewa zwykle charakter przejściowy, zatem bezbarwny. Kończy on sezon repertuaru stałego, jest wstępem do letniej martwicy. Z kasowych względów szuka się dlań pewnych atrakcji, ale już poza sferą normalnych, bieżących warunków rozwoju sztuki.

Tego roku przybyły nadto dwie jeszcze okoliczności, przyczyniające się do osłabienia repertuaru majowego: gościł krótko Reinhard z „Królem Edypem“, przybył na dni kilkanaście do teatru Wielkiego Stanisławski. Na przedstawienia „Króla Edypa“ nie poszła polska publiczność, prócz nie liczącej się z żadnymi względami tak zwanej „śmietanki towarzystwa“. Poszli za to tłumnie żydzi, by jeszcze raz zmanifestować, że nie liczą się zupełnie z wytycznymi postępowania polskiego społeczeństwa.

Doprowadzony do najwyższego prawie poziomu artystycznego w Europie Teatr Stanisławskiego, dał w Warszawie kilkanaście przedstawień z rosyjskiego repertuaru.

Dramat polski zakończył sezon zimowy w Rozmaitościach „Głupim Jakóbem“ Tadeusza Rittnera i otworzył się gościnnie dla pani Solskiej z Krakowa.

Pani Solska grała już w Warszawie jako gość tej samej sceny przed laty ośmiu. Te osiem lat ciągłej pracy na scenie stworzyły z aktorki utalentowanej ale jeszcze w skali techniki scenicznej trochę nieświadomej środków i nieumiejącej rzeźbić efektów gry ciągłością jej linii, artystkę zupełnie

już zrównoważoną w ekspresji, talent silny i poważny, o skali interesującej nie rozległością swoją, ale sposobami interpretacji.

Pani Solska jest artystką z talentu, z pracy i z inteligencji artystycznej. Jedyne zarzut jakoby można jej uczynić, to brak zakresienia dla swego talentu granic, wskazanych przez smak artystyczny. Wystąpiła artystka krakowska u nas najpierw w komedji de Flers'a i de Caillaret'a „Miłość czuwa“, wznowionej specjalnie dla niej. Potem dopiero przyszedł Szekspir, Zapolska i Krzywoszewski, wreszcie „Nora“; otóż skala to zbyt rozległa. *Emploi* talentu zbyt wszechstronne. Od współczesnej, salonowej satyry francuskich najzręczniejszych *causeur*ów



Irena Solska w roli Anny Müller w „Aktorkach“ Stefana Krzywoszewskiego (fot. W. Szyblewskiego).

do Szekspirowskiej Julietty i Violi, a ztąd znów do Zapolskiej i Ibsena — to już zanadto ryzykowne przeskok. Wielki, królewski talent Modrzejewskiej tylko mógł sobie na coś podobnego pozwolić, a za

czasów jej nadto nie było jeszcze ani panów de Flers i de Caillave, ani—co ważniejsza teatru Zapolskiej.

Na Szekspirze, tym wiekiustym probierczym kamieniu wszelkich istotnych talentów, najlepiej



Szylinżanka
(fot. W. Szyblewski).

wykazała się siła artystyczna p. Solskiej, najlepiej różniczkował się rodzaj jej talentu. Pani Solska nie ma głębokiego, świeżego, nacechowanego wyjątkową prostotą liryzmu córy Capuletów, który chwilami przerzuca się kontrastowo na przeciwległy biegun uczuć, streszczając dramatyczną i tragiczną grozę; niema ani zewnętrznej świeżości pierwiotka, ani głosu wibrującego taką modulacją uczuć, którą tylko pierwsza młodość dać może. Talent jej natomiast operuje zupełnie pewnie wszystkimi czynnikami konsekwentnego charakteru scenicznego. Pani Solska nie jest interpretatorką odruchów uczuciowych, ale typy jej mają świetny rysunek usposobienia, są zupełnie wyraźne w konturze; oryginalne w technice gry, traktowanej z wdziękiem i delikatnością. Dlatego jej Viola w „Nocy Trzech Króli“ o tyle jest świetną i zajmującą o ile Julja jest rolą leżącą po za zakresie jej talentu i tego talentu środków. W sztuce „Miłość czuwa“ w „Kobiecie bez skazy“ konflikt środków tych jest także widoczny, chociaż można się najzupełniej zgodzić na sposób interpretacji każdej z tych ról wziętych z osobna. Zestawienie ich jednak, nieuniknione przy występach gościnnych nie jest dla artystki korzystne. Widzi się całą dojrzałość postaci rzekomo zupełnie młodej i naiwnej („Miłość czuwa“) spostrzega się, że to co u Reny ma być charakterem („Kobieta bez skazy“) jest tylko nadzwyczaj zręcznie wypracowaną artystycznie „szkołą“. Bez zarzutu grała p. Solska natomiast w „Aktorkach“ Krzywoszewskiego.

Ibsenowska „Nora“ godzi nas natomiast z panią Solską, więcej może nawet niż Viola, bo możemy nareszcie uwierzyć w szczerość ekspresji. Tu już niema stylu, który, bądź co bądź, musi być techniczną zaletą; tu są już tylko uczucia, bezpośrednie i szczere; brak im głębi, brak rysów tragicznych, ale na takiej właśnie powierzchowności sentymentu stoi Nora w sztuce.

Reasumując wrażenia z występów gościnnych

p. Solskiej, trzeba podkreślić jej niezwykłą inteligencję artystyczną, która talentowi tej doskonałej artystki daje bardzo solidną podstawę i czyni z niej wyjątkową siłę dla repertuaru zupełnie moderne. W tym właśnie kierunku p. Solska, niewiem zresztą z jakiego powodu, prócz „Kobiety bez skazy“ nic nam tym razem nie dała; jestem pewny że właśnie w tej dziedzinie występy jej odniosłyby najświetniejszy tryumf.

Po za dramatem—życie teatralne bije już osłabionym letnią porą pulsem, rozprasza się na sezonowe eksperymenty, ratuje się wznowieniami.

W farsie, repertuar mimo znanej zabieglivosti dyrektora Śliwińskiego, osłabł. Grano ostatnimi czasy dwie krotchwile: „Trzeba umrzeć aby żyć“ Nancey'a i „Żółte niebezpieczeństwo“ Ogonkowskiego (z niemieckiego). Obie pod względem gatunkowej ciężkości przypominały nam najświetniejsze czasy Labiche'a i Hennequin'a, ale pod względem scenicznego ruchu, dowcipu i humoru były smutnem tych czasów przeciwstawieniem...

Niema dziś dobrych fars...

Ani lekkich komedji. Nawet pióro pp. de Flers i de Caillavet — stępiło się już nieco. Osłabła ich energia wyszana niesytością śmiechu bulwarów paryskich. Dowcip niemiecki rzadko nas bawi, Humor z „Bierhertzu“ płynie, nam nie do smaku. A może też — przejadła się już wszystkim ta pianka jednodniowych pomysłów i sytuacyjnego komizmu, po której na drugi dzień zaciera się wspomnienie, ale której smak zaczyna już mdlić samą myślą o obowiązku śmiechu...

Stanowczo potrzebuje teatr farsy, jakiejś reformy. Wprowadzenia doń czegoś nowego, co zajmie znów — póki znów nie znudzi.

W operetce wznowienia. Na nowości także posucha — a przytem konwencja literacka poczyna już tamować dotychczasowe, łatwe sposoby stawiania repertuaru.

Pani Messal śpiewa tymczasem tak pięknie, wygląda i tańczy tak czarująco, że bez znużenia słuchać można melodji oddawna znanych, nawet z płyt gramofonu...



Lubicz-Sarnowska
(fotogr. Marjana Fuksa).

W teatrze małym zakończył dyrektor Zalewski sezon interesującą „Żagwią“ Kistemackersa, w której p. Zelwerowicz występem w roli bardzo dra-

matycznej wzbudził ogólną ciekawość. Doskonały ten artysta, jako bohater moderne, zaimponował skupioną siłą i plastyką typu bardzo szlachetnie i bardzo realnie pojętego, ukazując w talencie swym, przysłonięte dotąd humorem i werwą głębie, z których można się spodziewać wyjścia niejednej jeszcze, potężnej artystycznej kreacji.

Artyści Teatru Małego na sezon letni postanowili sami prowadzić kampanię na własny rachunek. Zaczęli od „Pięciu Rotszyldów“ wiedeńskiego panegiryku bankierskiego, którego tytuł miał być atrakcyjnym szyldem dla pewnych sfer.

W Wiedniu — nie wystarczyło tych sfer do utrzymania sztuki na repertuarze; u nas premiera dowiodła słuszności kasowych kalkulacji, wszyscy bowiem, dla których dźwięk nazwiska Rot-

szyldów stanowi miłe polaskotanie rasowej dumy — stawili się tłumnie i chodzili na tę sztukę przez szereg następnych wieczorów. Słychać, że to kasowe powodzenie skłoniło jednego z miejscowych literatów do napisania czempredzej sztuki osnutej na tle historii jednego z miejscowych wielkich domów bankierskich... może to przedłuży ten niespodziewany sukces.

Powoli wchodzimy w martwy okres letni.

Rozpoczynają się urlopy artystów — przychodzi chwila kiedy najmniejszy skrawek prawdziwej, zielonej trawy milszy jest każdemu od malowanej najartystyczniej „wolnej okolicy“.

A tymczasem — w kurzu i stuku nerwowo pracujących mularskich kielni,

wznoszą się szybko mury dwóch nowych prywatnych teatrów...

Nick.



„Wieczór Trzech Króli“ Szekspira, scena z pierścieniem — Frenkiel i Solska
(fot. W. Sztylewskiego).

W OGRÓDKU MOIM...

W ogródku moim kwitną bzy; —
woń mię upaja miła...
I śnię, że przy mnie jesteś Ty...
O gdybyś ze mną była!..

Rozchylą wkrótce pąki róż
misternych płatków zwoje...
Czy będziesz wtędy ze mną już?..
O ukochanie moje!..

Ogródek czarem życia tchnie; —
lgnie słodko kwiat do kwiatka...

A Ciebie przy mnie niema, niel..
i ból w me sny się wplata...

...Przekwitną bzy, róż zwiędnie pęk,
zczernieje ruń w ogródku,
powieje nad nim zgonu lęk
w jesiennej doby smutku...

Lecz ja... wciąż goniąc szczęścia sny,
rozbudzę świat z martwoty,
bylebyś ze mną była Ty,
pragniony śnie mój złoty!..

EMILJA RYCHTER.



IKS.

Tyle miałem wątpliwości co do jego pochodzenia, że na inną nazwę zdobyć się nie umiałem przy chrzcinach.

Matka była cnotliwa wielce, gordonceterka, bardzo czystej krwi,

trochę gorąca w polu, zwłaszcza na kury, ale z pysznym górnym wiatrem i karna ogromnie, a przywiązana do mnie wprost nadzwyczajnie.

Ale zdarzyło się tak że zmuszony byłem na dłużej z domu wyjechać i opiekę nad łowieckim moim inwentarzem, to jest nad ową „Mitrą“ dwoma smyczami chartów i parą ciętych taksów, zlecić musiałem staremu gracjaliście, panu Pawłowi. Pan Paweł służył niegdyś u ojca mego za lokaja, ale złamawszy razu pewnego rękę w powrocie z jakiejś sannej wyprawy na lisy (bo stary namiętym był myśliwym) — przeszedł na inną funkcję. Został „łowczym nadwornym“ opiekował się

psami i bronią, fabrykował ładunki, no! i naturalnie asysty na polowaniu nigdy mu nie można było wytłómaczyć. Pan Paweł myśliwym był zawołanym, psy lubił, ale na punkcie ich chowu i tresury nie mogliśmy się nigdy pogodzić. Miał psa, „Faceta“, pokurcza najzwyczajniejszego, którego jednak wyuczył aportowania i który, trochę z racji naturalnych, właściwych wszystkim psom instynktów, trochę pod wpływem pewnej tresury — szukał zwierzyny a nawet znalazłszy ją, przystawianiem markował.

Ten „Facet“ był ulubieńcem pana Pawła i żywym dowodem jego wiekuistego twierdzenia, że w wyśle krew i rasa jest wymysłem i bałamuctwem niepotrzebnym, a wszystko znaczy — tresura.

Wyjeżdżając, poleciłem gorąco i kilkakrotnie panu Pawłowi, by dopilnował mojej „Mitry“ i nie dopuścił do spoufalenia się jej z „Facetem“, potomkiem wszystkich istniejących psich ras i odmian. Po powrocie jednak, z opowiadania psiarczyka, powziąłem dużo wątpliwości, co do sposobu w jaki pan Paweł ze zleceń mych się wywiązał i dlatego właśnie do pierwszego potomka mojej „Mitry“ zupełnie zaufanie straciłem.

Nazwałem go z tego powodu „Iksem“.

Pies rósł, a ja mało nań zwracałem uwagi i nawet nie potrzebowałem jej zwracać, skoro pan Paweł zabrał się do jego edukacji na swój „wypróbowany“ sposób. Iks warował i aportował, a nawet służył od czasu do czasu, ale pora wiosenna do praktyki polowej jeszcze się nie nadawała.



Setry przy „robocie“ (Gordon-cetter i Irish-cetter).



„Ściągają się”!

Nadszedł wreszcie Sierpień — były już „farbówki”. Stały jeszcze owsy po polach, czerniały grochy i zieleńły się w pas wyrosłe łubiny.

Pewnego ranka gwizdnąłem na „Mitrę” i nie uprzedzając pana Pawła, wyszedłem ze strzelbą w pole. Stary wyga dostrzegł mnie jednak i korzystając z tego, że zatrzymano mnie czemś przy stajni, wyciągnął sam na kury, naturalnie ze swoim „Facetem”. Zastałem go za ogrodami już w burakach, gdzie co dnia wabiły się pod wieczór kuropatwy i zirytowany spostrzegłem, że zabrał ze sobą i „Iksa”.

Ponieważ wiedziałem, że wszelkie perswazje i rozkazy będą daremne, więc chciałem już przejść na własną rękę w kartofle pod las, gdy nagle „Mira” stanęła jak wryta.

Odwiódłem półkurcza. Na rozkaz „pójdź dalej,!” suka drząc cała, zaczęła się szybko posuwać naprzód. Ciekną rządkami! — pomyślałem — może jeszcze za małe?..

Wtem z pod nóg furknęło stadko.

Strzeliłem dwa razy i raz spudłowałem.

Suka rzuciła się przynieść zabita kure, lecz nim przy niej stanęła, dopadł już niespodziewanie „Iks” i chwyciwszy w pysk ptaka, ogromnie kontent, niósł go do Pawła.

— Daj aport! do nogi tutaj! — krzyknąłem zirytowany. „Iks” stanął, prze-

stał wachlować ogonem i zaczął bezczelnie patrzeć, raz na mnie, raz na Pawła.

Ale stary nie śmiał go zawołać, więc skoro powtórzyłem rozkaz, pies już bez wahania podał mi kuropatwę.

Trochę zdziwiony, odebrałem mu łup z pyska; „Iks” ogromnie uradowany wytarł mi się o nogi i dysząc, patrzył mi w oczy z ogromną błogością.

— Allons, szukaj! — zawołałem na sukę chcąc iść dalej za stadem. „Mitra” ruszyła. „Iks” przy niej, z boku, poszedł nieproszony, sznurkiem. Patrzyłem ciekaw co z tego będzie. Nie uszedł jednak jeszcze i 50 kroków, gdy stanął, łeb podniósł, pociągnął nozdrzami i jak szalony pognął przez buraki. Suka oburzona tym niegodnym postępkem potomka obróciła się do mnie. Nim jednak zdecydowałem się gwizdnąć na niesfornego



„Furknęły”!

elewa pana Pawła, ten stanął jak wryty o jakieś trzysta kroków odemnie. Stał i począł się ścigać. Szybko założyłem nowe ładunki i podszedłem ku niemu — pies szybko się obejrzał i stał dalej jak z kamienia wykuty...

Podszedłem bliżej i trąciłem go nogą.

— Pyf!

Zafurczały w powietrzu lotki kuropatwie.

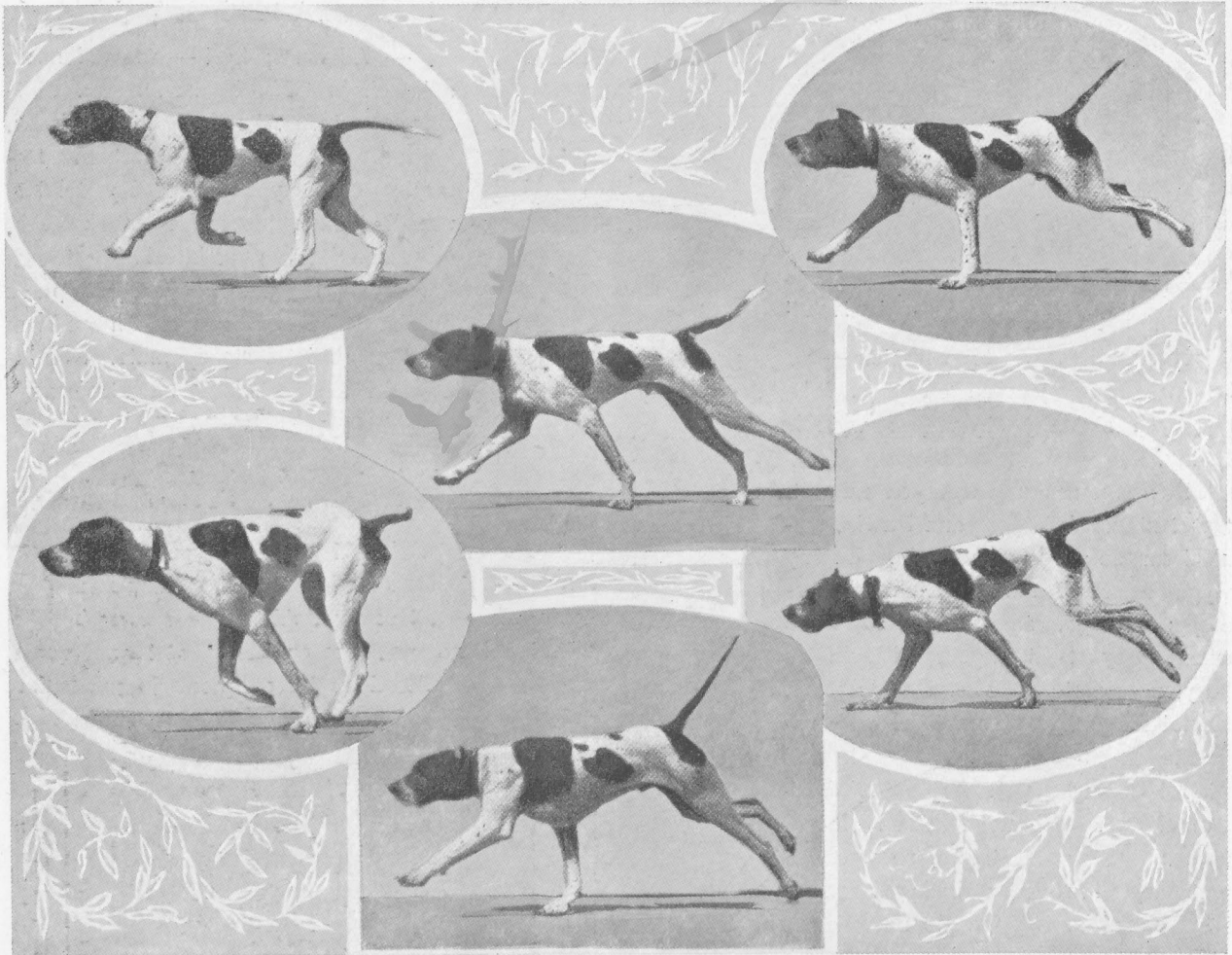
aportował mi ją, no i później bardzo ciekawie się sprawiał. Aż mi dziwno, żeby ta parantela z tym pokręconym „Facetem“ Pawła takie dała skutki.

Ale pan Matczyński rozśmiał się wesoło.

— Z „Facetem“? to pan dziedzic nic nie wie?

— A cóż mam wiedzieć?

— Thi! bo to jak pana dziedzica nie było w ziemi, Paweł wciąż „Mitrę“ z „Facetem“ obiecywał



Aport — migawkowe zdjęcie w ruchu psa. (fot. I. O. S.).

I spuściłem zgrabnie dwie. „Iks“ znów przyniósł je po kolei — stanął, zawietrzył i znów pognał przez buraki. Za chwilę stanąłem znowu przy nim.

Do południa ubiłem sztuk czternaście.

Wystawił i kota i trząśł się cały, skorom go wypchnął bez strzału, ale nie pogonił.

„Mitra“ była wyraźnie zaambarasowana powdzeniem jedynaka, ja przekonywać się do niego zacząłem. Markotno mi tylko było, że w domu znowu p. Paweł będzie mi dowodził, że rasa to bałamuctwo.

Wracając spotkałem koło gumien ekonomia.

Zdziwił się widząc mnie z „Ikssem“.

— Próbował go pan dziedzic? — zapytał.

— Paweł z nim wyszedł — zabiłem kurę, przy-

swatać. Ale ja staremu figla zrobiłem. Bywa u mnie znajomy — pan dziedzic wie — ten nadleśny z rządowych — ma psa jak złoto! „gryfon“ bestja z rodowodem! i medal dostał w Warszawie, więc sobie myślę...

— A toś mi pan niespodziankę zrobił! Teraz rozumiem! i serdecznie dziękuję.

Jaką minę miał pan Paweł gdyśmy mu to potem opowiedzieli, niepotrafię opisać. Strasznie się skrzywił.

I do „Iksa“ serce stracił odrazu.

Zato odtąd ja go począłem nazywać „Lordem of Iks“ a pies najzupełniej ten awans usprawiedliwił; był to jeden z najlepszych moich myśliwskich towarzyszy i wywiódł nawet dynastję, znaną długo w Miechowskim, w myśliwskich dworach. o.



Bogusław Herse

Marszałkowska 150

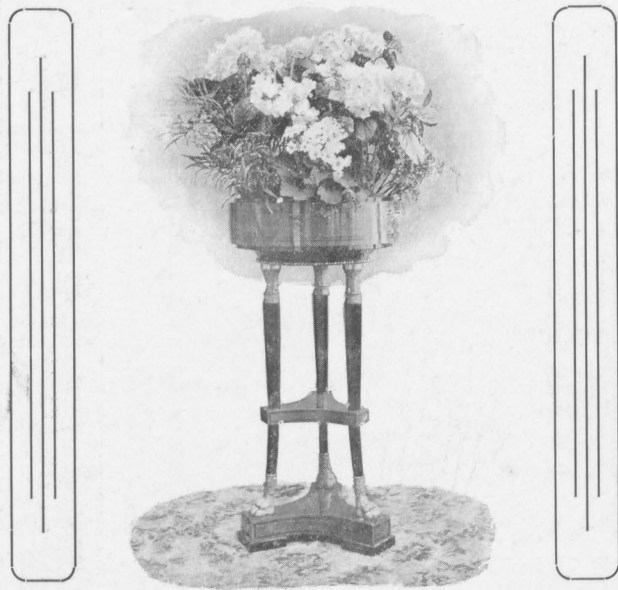
WARSZAWA



Napoleon I, według sztychu K. Vernet'a.

Hotel Angielski.

Stary, historyczny dom. Niegdyś, jako własność biskupia, pałacem był i zwał się — potem dworcem magnackim, wreszcie, w demokratycznym prądzie czasu przerobiony na kamienicę dochodową obrócony został na hotel.



Żardyniera empire, kompozycji p. Frycza.

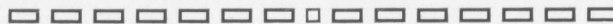
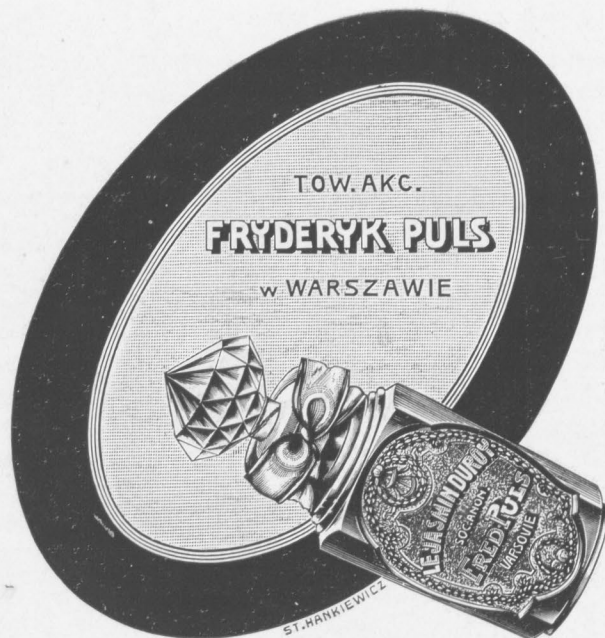
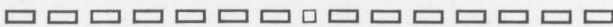
Grunt, na którym stoi, własnością był Ossolińskiego Jerzego, kanclerza. Stał na nim najpierw kościółek i klasztor karmelitanek. Skoro Szwedzi jeden i drugi (1655 r.) spalili, kupił plac biskup

poznański, Stefan Wierzbowski i pałac wybudował, a ulica, przy której gmach stanął, nazwę wzięła od jego imienia. Potem Radziwiłły, Denhoffowie, Słuszkowie i Sanguszkowie, Brühl, Potocki Eustachy, a wreszcie Małachowski Jacek, kanclerz zmieniali się w tych murach. Rzeczpospolita upadła, pałac zdegradowano na hotel. Najpierw nazywał się „Hotel de Prusse“, aż kupił go (1803 rok), Gąsiorowski Tomasz i przechrzczył na „Angielski“, otwarty w nim restaurację bardzo renomowaną. Gwaro tam było za Księstwa Warszawskiego! Przychodził sam książę Józef Poniatowski!



Świecznik empire, kompozycji p. Frycza.

POŻYCZKI NA MEBLE udziela
TOW. AKC. **A. Wróblewski i S-ka**, Trębacka 13.



W klęskowym roku 1812, w powrotnej z pod Moskwy drodze od resztek niszczącej w śniegach i mrozach Wielkiej Armii 10-go grudnia zajęchał tam na popas Bóg wojny, Cesarz Napoleon. Znany wszystkim, historyczny popas, którego wspomnienie przyrosło do starych tych murów i nazwy hotelu. Gąsiorowscy utrzymali hotel w swoim ręku do r. 1860 — następnie kupili dom Löwenbergowie, potem Rotwand i Wawelberg, a dziś jest on Stanisława Rotwanda własnością.

Restaurację prowadzoną od wielu lat w tym hotelu przez różne znane w Warszawie firmy, objął w r. b., w sto lat po historycznym popasie Napoleona, p. Józef Jordan i na pamiątkę tej rocznicy cały lokal odnowił i na nowo urządził.

Historyczne wspomnienie dostarczyło szczęśliwego natchnienia do ujęcia całego tego pięknego i od tak dawna znanego lokalu w stylową, nadzwyczaj efektowną ramę. P. Jordan zwrócił się w tej sprawie do znanego artysty-malarza, p. Karola Frycza, członka T-twa „Sztuka“ i „Polska sztuka stosowana“, oraz do architekta Gustawa Goldberga. Poczynając od klatki schodowej, cały lokal urządzono w stylu późnego „empire'u graniczącego już z okresem „liedermajerskim“. Główna sala, boczne salony i gabinety w plafonach i ścianach, w sztukaterji gzymsów, w ozdobach wszelkich wiernie do tego zastosowano. P. Frycz wykonał plany całego umeblowania z jasnego i ciemnego mahoni uinkrustowanego hebanem, o rzeźbionych złożonych kapiitelach. Bufet, krzesła, fotele, wspaniałe i prześliczne w rysunku kanapy, żardinierki, obicia mebli, świeczniki, srebra i zastawa cała stołowa,—wszystko nadzwyczaj harmonijnie dobrane, składa imponującą stylową całość rozmieszczoną w pięknym frontowym lokalu od Wierzbowej. Dodano także nową werandę oszkloną witrażami i ozdobioną wspaniałymi lampami i kloszami ze szkła „Tiffany“ oraz meblami koszykowymi na wzór stylowych angielskich „luncheon-room'ów“.

Restauracja Hotelu Angielskiego jest dziś jednym z pierwszorzędných zakładów, gdzie piękno stylu umiano pogodzić z komfortem nowoczesnym i wygodą gości. W obecnych czasach, kiedy wzgląd na piękno dość jest lekceważony, kiedy nawet specjalne komisje, starające się o upiększenie miasta, niewiele zdziałać mogą, osiągnięcie tej harmonji między estetyką a praktycznymi stronami życia jest rzeczą dość rzadką i zasługującą na wyróżnienie. Dlatego załączamy tu reprodukcje kilku najpiękniejszych stylowych pomysłów p. Frycza, jako wzór istotnie godny naśladownictwa.

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Luni S. Cieszy mnie, że Sz. Pani jest tak zadowolona z przeprowadzonej kuracji usunięcia wągrów w Kalotechnice i że perełki alkaliczne i Vesta tak znakomicie oczyściły cerę. W dalszym ciągu używać Vestę i od czasu do czasu masować twarz Autowibratorem D-ra Johansena dla pobudzenia cyrkulacji krwi i wyrównania cery.

Zmartwionej. Włosy myć mydłem płynnem Antrasolowem i nacierać skórę głowy Radiolem — a zło da się usunąć i włosy szybko rosnąć będą. Brodawkę na nosie zdejmie lekarz elektrycznością w Kalotechnice, Marszałkowska 116, telef. 16-73. Przyjęcie codziennie od 4 — 6.

Starej wdowie. Na czarny kolor najtrwalej barwi farba D-ra Phouseca. Przykry zapach z ust usunie Elixir radjowy. Herbata D-ra Daloffa jest nieszkodliwą, a przy zbytniej tuszy b. skuteczną. Środki te w Ciechocinku dostanie Sz. Pani w Składzie Wolmana.

Pensjonarce. Żółtą pręgę na szyi oraz piegi usunie krem D-ra Orgley'a. Na noc smarować kremem, rano płynem Vestą. Ręce udelikatniać rękawiczki kosmetyczne. Odziębienie usunie krem Eros. Włosy przysłać trzeba do analizy lekarskiej do Kalotechniki — lekarz zbada i zaleci odpowiednie środki. Kosztuje rb. 3.

Pikerowi z nad Strugi. Na porost brwi mogą polecić Ol. Hel. Krosty usunie płyn Vesta oraz perełki alkaliczne do mycia.

Wszystkie wymienione tutaj środki wyseła za zaliczeniem Kalotechnika, Marszałkowska 116, oraz w Łodzi Spiess, w Kijowie Jurobat, w Wilnie Gruzewski, w Krakowie Miklaszewski, we Lwowie Pawłowski Akademicka 21, w Lublinie Bernatowicz, w Piotrkowie Kryński.

M-me LENA.

„CERES” W LIPSKU.

Młodzi polska studująca w Instytucie Rolniczym Uniwersytetu Lipskiego zorganizowała się ostatnimi czasy w stowarzyszenie dla samokształcenia się pod nazwą „Kółko Rolników słuchaczy Uniwersytetu w Lipsku: „Ceres“ i w bieżącym semestrze przystąpiła już do pracy.

Organizacja naszej młodzieży uniwersyteckiej na obczyźnie są bardzo ważnym czynnikiem rozwoju społeczno-narodowego, utrzymują w niej bowiem w stanie ciągłej świeżości ten pierwiastek samopoczucia narodowego, który w obcym środowisku, przy koniecznym, bo z nauką połączonym wzorowaniu się na cudzych zasadach życia, zubożeniu i popaść w stan pewnego zastoju dość łatwo może.

Dlatego kraj rodzinny wszelkimi siłami wspierać powinien usiłowania te uczącej się zagranicą młodzieży naszej przez umożliwienie jej jaknajszerszego i ciągłego kontaktu z życiem krajowym, a najprotszą w tym kierunku drogą jest zasilanie czytelnicy Kółka „Ceres“ stałym nadsyłaniem wydawnictw krajowych, zarówno fachowych jak ogólnych.

„Wieś Ilustrowana“ przyłączając się do ogólnej sprawy zasyła młodemu Stowarzyszeniu szczerze życzenia pomyślnej i owocnej pracy.

Prywatne gimnazjum Realne w Zakopanem.

Już od szeregu lat mówi się u nas głośno o potrzebie założenia jakiejś szkoły średniej, któraby dawała to, co dają szkoły rządowe, a równocześnie stała na wysokości najnowszych wymagań higieny i estetyki, któraby kształciła rozum, a przytem dbała jak najusilniej także o fizyczny rozwój wychowanka. Podtrzymywać w dziecku żywą radość z życia, uchronić wrażliwy system nerwowy od szkodliwych wstrząśnień, od chorobliwego napięcia, rozwinąć harmonijnie kulturę głowy i kulturę serca, strzedz organizm od szkód na zdrowiu, a wspierać troskliwie wzrost sił fizycznych, uczynić dziecko zdolnym i przygotowanym do życia w właściwym tego słowa znaczeniu — oto główne wytyczne reformatorskich dążeń na polu wychowania publicznego. W licznych projektach, które tę sprawę omawiały, wymieniono Zakopane, jako miejscowość nadającą się szczególnie na siedzibę takiej szkoły. Zdrowa okolica, przepyszna panorama gór współdziałałyby skutecznie z pracą wychowawców i gdyby zdrowa idea inicjatorów została skutecznie popartą przez nasze społeczeństwo, kto wie czy Zakopane w dziejach naszego szkolnictwa nie stałoby się drugim Krzemieńcem. Te marzenia snuto już niejednokrotnie, ale wszystkie odnośne projekty,

choć piękne i godne poparcia, rozbiły się dotąd o niechęć miarodajnych czynników i obojętność publiczną.

Myśl ta przybiera nareszcie realne kształty. Oto grono obywateli w Zakopanem, przy współdziałaniu inteligencji pozamiejskowej zawiązało Towarzystwo, ukonstytuowało się w wydział, a otwierając z dniem 1 września 1912 roku w Zakopanem prywatne gimnazjum realne z internatem, projekty usiłuje w życie wprowadzić.

Podstawą programu nauki w projektowanym zakładzie naukowo-wychowawczym będzie plan galicyjskich gimnazjów realnych, rozszerzony przez naukę języków nowożytnych, rysunki, muzykę, a dla wychowawców z Królestwa Polskiego wprowadzoną będzie nauka języka i literatury rosyjskiej.

Po wyczerpaniu materiału objętego tak rozszerzonym planem, wychowanek będzie mógł składać, albo egzamin dojrzałości z gimnazjum realnego, albo po uzupełnieniu materiału z języka greckiego (który będzie przedmiotem nadobowiązkowym), maturę z gimnazjum klasycznego.

Profesorami zakładu będą ludzie z pełnymi kwalifikacjami naukowymi i ożywieni szczerą ochotą pracy nad młodzieżą i postawienia zakładu na

TRZY DYPLOMY UZNANIA
FIRMA EGZYST. od 1871.

Łóżka, Łóżeczka niklowane, mosiężne i żelazne.
Materace druciane i tapicerskie.
Kołdry wełniane i atlasowe.
Umywalnie i garnitury do nich.
Toalety i Szafki nocne.
Wózki i Welocypedy dziecięce.
Wieszadła do ubrań ściennie i stojące.
Meble ogrodowe, stoły, ławki, krzesła.
Lodownie pokojowe, Wanny, Prysznice
Kłozety pokojowe, Kubły, Konewki.
Kasetki do pieniędzy i biżuterji.
Prasy do kopjowania listów.

NOWOŚĆ!!!

Fotele i kozetki rozkładane zastępujące wygodne łóżka.

Maszynki do kawy i herbaty.
Samowary spirytusowe i do węgla.
Serwisy do octu i oliwy.
Maselniczki. Kompotjerki.
Tace niklowe i drewniane.
Łyżki, Noże, Widelce
Lichtarze i popielniczki.
Maszynki spirytusowe i naftowe.
Filtry. Maszynki do lodów.
Wyzymaczki. Magle.
Pralnie „Cała Para Johna”.
Kotły, żelazka do prasowania.
Garnitury biurkowe.

Kompletne wyprawy kuchenne: niklowe, aluminjowe, miedziane, emaljowane i z porcelany ogniotrwałej „L'aluminite”.

POLECA W WIELKIM WYBORZE PO CENACH FABRYCZNYCH

WŁADYSŁAW GOSTYŃSKI

**Skład Fabryczny Tow. Akc. Wł. Gostyński i S-ka w Warszawie,
Wierzbowa Nr 3, tel. 14-85.**

możliwie najwyższym poziomie naukowo-wychowawczym.

Zakład będzie pozostawał pod ustawiczną opieką lekarską, a nad wychowaniem fizycznym będzie czuwał fachowy w tym kierunku profesor.

Przez otwarcie internatu dla wychowanków zakład będzie w stanie zapobiedz wszelkim ujemnym wpływom, które po części pochodzą z nieodpowiedniego nadzoru domowego, jak również ze źle dobranego towarzystwa, pracę szkoły paczą i niweczą.

Kierownictwo tak zakładu jak i internatu oddano prof. dr. B. Gofronowi, a nazwisko jego daje rękojmię, że zakopańskie gimnazjum realne odwie godnie wszystkim nadziejom, jakie z tą szkołą łączymy. Dr. B. Gofron zapoznał się w pierwszorzędnym centrach zagranicznych z wymaganiami najnowszej pedagogii, a łącząc fachową wiedzę z zapałem, zdoła zakopańskie gimnazjum postawić na odpowiedniej wyżyźnie.

Z nadchodzącym rokiem szkolnym, t. j. dnia 1 września będzie otwartą klasa I i II, które z każdym rokiem będą postępować naprzód. W zakresie klas wyższych, a zatem od III do VIII będą w zakładzie urządzone kursa przygotowawcze prowadzone przez profesorów zakładu, a uczniowie tych kursów mogą też być pomieszczeni w internacie.

Blizszych informacji udziela dr. B. Gofron. Zakopane, willa „Szarotka“.

BIBLIOGRAFJA.

Ludwika Romockiego: *Liść Figowy. Powieść. Warszawa-Lwów, H. Altenberg, New-York.* Najnowsza powieść autora „Hakaty“ należy do rzędu *par excellence* psychologicznych. Rzecz, napisana poetyczną prozą, która uderza dźwiękiem i harmonją słowa, a przytem jasną i prostą. Barwność obrazów i plastyka figur dodają uroku tej historii, — historii o tragicznym wyniku, bo nikt nie walczy bezkarnie z „konwensansem, który jak liść figowy pokrywa egoizm ludzki“.

Bogactwo oryginalnych spostrzeżeń, rozsianych po kartach tej ciekawej książki, podnosi jej wartość.

Belstaw Inżbud: *Z za kulis Monte-Carlo.* Według źródeł francuskich. Warszawa, 1912. r. format 12 X 19, str. 165. Cena rb. 1.

Aktualny zawsze dla bywalców na Riwierze temat hazardu i tajemnic ruletki oraz *trente et quarante* posłużył autorowi do napisania książki o treści sensacyjnej, a opartej na długoletnich obserwacjach stosunków panujących w słynnym na cały świat Kasynie dla cudzoziemców, które co roku wabi graczy, w uroczym zakątku Jasnego Brzegu.

Książka napisana barwnie i żywo, przedstawia przed okiem czytelnika cały szereg sensacyjnych i poufnych obrazów ujętych w kajejdoskop dość zręczny. Temat jednak nadaje książce tylko jedynie wartość przestrogi dla tych, co dostarczają ofiar stołom rulety i wyłącznie z tego powodu nad utworem tym można się zastanowić.

Literatura obca zasadniczo rzeczy takie klasyfikuje do kategorii tak zwanych „książek kolejowych“ czytanych zwykle w drodze, dla zabicia czasu. W naszych stosunkach życzyć sobie tylko należy, aby książka p. Inżbuda, czytana była w wagonach ekspresów, wywożących naszych lekkoduchów na kuszące Południe — może ona z drogi do Monte-Carlo choć jednego zawróci.



Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzisł. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żórawia 22, tel. 90-90.
Urządzanie gospodarstw leśnych, inspekcje i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

L. LIPIŃSKI

Warszawa
Plac Teatralny № 7
Telefon 75-12

MAGAZYN I FABRYKA
WYROBÓW JUBILERSKICH

Brylanty, Rubiny,
Smaragdy,
Szafiry i Perły.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



SKŁAD FABRYCZNY MEBLI GIĘTYCH

BRACI THONET

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 20-29.

Kompletne urządzenia apartamentów, willi, teatrów, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.
Wielki wybór gotowych salonów, jadalni, sypialni i t. p. na składzie.

Kronika wiejska.

Dnia 24 b. m. ukończyły się wybory do Władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wybrani zostali:

W Siedlcach. Do komitetu wybrany został ponownie p. Czesław Karpiński, do Dyrekcji Głównej również ponownie p. Leon Szeliski; do Dyrekcji Szczegółowej powołani zostali pp. Józef Chomiczewski i Józef Helbich (obaj ponownie), oraz p. Wincenty Jeremołowicz z Igania. Na zastępcę radcy komitetu wybrany został ponownie p. Ignacy Humnicki, na zastępcę radcy Dyrekcji Głównej p. Stanisław Kuczewski z Krzyczewa; na zastępców radców do Dyrekcji Szczegółowej powołani zostali pp. Edmund Orzechowski z Jastrzębia-Kąt i Tadeusz Chwalibóg z Mysłowa. Na prezesa przyszłego zebrania okręgowego wybrany został p. Zygmunt Jaźwiński z Bork Radzyńskich, a na zastępcę p. Antoni Daszewski.

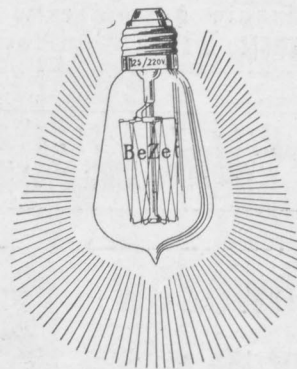
W Lublinie. Rezultat wyborów był następujący: do Komitetu na pierwszego radcę wybrany został ponownie p. Stanisław Boduszyński, a na drugiego p. Konstanty Przewłocki z Woli Gałęzowskiej; do Dyrekcji Głównej powołany został ponownie p. August Popławski; do Dyrekcji Szczegółowej wybrani zostali pp.: Władysław Staszewski, Henryk Załuski i Maksymilian Dobrski (wszyscy trzej ponownie). Na zastępcę radcy Komitetu wybrany został ponownie hr. Aleksander Szeptycki; na zastępcę radcy Dyrekcji Głównej również ponownie p. Stanisław Fudakowski z Uhra; na zastępców radców do Dyrekcji Szczegółowej powołani zostali pp.: Grzegorz Lipczyński z Kryniczek i Stanisław Sobieszczański z Podlodowa. Na prezesa przyszłych wyborów powołany został p. Stefan Kowerski z Józefowa, a na zastępcę p. Stanisław Śliwiński z Antopola.

W Kaliszu. Do Komitetu wybrany został p. Witold Romocki z Kamienia na miejsce dotychczasowego radcy p. Feliksa Radońskiego, który zrzekł się nadal urzędowania z powodu choroby. Do Dyrekcji Głównej wybrani zostali pono-

wnie pp.: Władysław Wardęski i Teodor Doruchowski. Do Dyrekcji Szczegółowej powołani pp.: 1. Henryk Chrzanowski, (obecny prezes Dyrekcji Szczegółowej), 2. Bolesław Lisowski, 3. Tadeusz Puławski i 4. Antoni Tarnowski (wszyscy czterej ponownie) i 5. Ignacy Kozuchowski z Brudznia. Na zastępcę radcy Komitetu wybrany został p. Wacław Niemojewski z Gorzuch, na zastępcę radcy Dyrekcji Głównej p. Feliks Murzynowski (dotychczasowy radca Dyrekcji Szczegółowej), a na dwóch zastępców radców Dyrekcji Szczegółowej powołani zostali pp.: Stanisław Trepka z Poprężnik i Witold Garczyński ze Zborowa. Na prezesa przyszłego zebrania okręgowego wybrany został p. Antoni Kosiński (dotychczasowy i długoletni radca Dyrekcji Szczegółowej), a na zastępcę prezesa p. Feliks Radoński (obecny radca Komitetu).

W Warszawie. Do Komitetu wybrany został ponownie p. Stanisław Dzierzbicki, do Dyrekcji Głównej również powołani zostali ponownie pp. Tytus Piwnicki (jako pierwszy radca) i Michał Byszewski (jako drugi radca), do Dyrekcji Szczegółowej pp. Ludwik Łaszcz i Kazimierz Gliński (obaj ponownie), oraz pp. Mieczysław Chądzyński z Orłowa i Witold Mroziński z Faszyc. Na zastępcę radcy Komitetu powołany został p. Bolesław Wyganowski z Franciszkowa, na zastępcę radcy Dyrekcji Głównej p. Jerzy Ostrowski z Dębowej Góry; na zastępców radców Dyrekcji Szczegółowej wybrani zostali pp. Bronisław Sulimierski z Konecka i Zygmunt Domański z Jasieńca; na prezesa następnego zebrania okręgowego wybrany został p. Henryk Krzymuski z Falborza, a na zastępcę prezesa p. Roman Higersberger z Rataj.

W Piotrkowie. Do Komitetu Wincenty Łoskowski, do Dyrekcji Głównej Witold Marczewski, do Dyrekcji Szczegółowej Tadeusz Walicki, Marceł Myszkowski, Antoni Turski, Eugenjusz Lempicki, Bronisław Sz wajcar, Kazimierz Masłowicz. Na zastępców do Komitetu Tytus Wilski, do Dyrekcji Głównej Józef Makulski, do Dyrekcji Szczegółowej Władysław



BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH
WACŁAW BRYGIEWICZ, MICHAŁ ZUCKER i S-RA
 WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 119. (TEL. 37-40).
 ADRES TELEGR.: „BEZET”

INSTALACJE, OŚWIECZENIE, MOTORY.
 ZASTOSOWANIE ELEKTRYCZNOŚCI W ROLNICTWIE.
 DOSTAWA ARTYKULÓW ELEKTROTECHNICZNYCH.

Magasin **G. Bargoin**
Français
Bijoux de Paris
 Varsovie Nowy-Świat 45

PADEREWSKI, RUBELIK, BATTISTINI,
ANZELMI wykonali cały szereg nowych
 utworów do gramofonu.

PŁYTY DO NABYCIA W SKŁADZIE
B. RUDZKIEGO
 Marszałkowska 87.

Luczycki, Adolf Bukowiecki; na Prezesa przyszłych wyborów Antoni Kohserzycki.

W Łomży. Do Komitetu Władysław Glinka, do Dyrekcji Głównej Jan Gościcki, do Dyrekcji Szczegółowej Antoni Kuberski, Teodor Rzętkowski, Michał Bronikowski, Zygmunt Przyjemski. Na zastępców do Komitetu Tadeusz Wojczyński, do Dyrekcji Głównej Jan Dłużewski, do Dyrekcji Szczegółowej Stefan Sztembort, Zygmunt Sokołowski; na Prezesa przyszłych wyborów Józef Chojnowski.

W Kielcach. Do Komitetu Eustachy Dobiecki, do Dyrekcji Głównej Roman hr. Morstin, do Dyrekcji Szczegółowej Adam Linowski, Florjan Gostkowski, Sęczykowski; na Prezesa przyszłych wyborów Stanisław Górski.

W Sawalkach. Do Komitetu Ludwik Gromadzki, do Dyrekcji Głównej Jan Kwiatkowski, do Dyrekcji Szczegółowej Tomasz Wolski, Kleofas Kulwiec, Ludwik Wyrzykowski, Roman Zaremba, Leon Pilichowski, Adam Modliński; na Prezesa przyszłych wyborów Mikołaj Rekosz.

W Płocku. Wybrano do Komitetu Józefa Choromańskiego z Zoch Wielkich, do Dyrekcji Głównej Jana Załuskiego z Czernocinka i Kazimierza Strzeszewskiego z Arcelina; do Dyrekcji Szczegółowej Piotra Waldemara Piwnickiego z Gillina; Tomasza Siekluckiego z Goleszyna i Henryka Szwackiego z Nowej Wsi.

W Radomiu. Wybrani są do Komitetu Włodzimierz Kariski, wł. dóbr Klimontów, Szymanowice, ponownie; do Dyrekcji Głównej Adam Łuniewski, wł. dóbr Wieniawa, również ponownie; do Dyrekcji Szczegółowej Karol Strzembosz, wł. dóbr Milejowice, Władysław Pruczek, wł. dóbr Jaszowice (ponownie), Jan Herniczek, wł. dóbr Zakrzów, Kościechy, Nowe Łąki, oraz Teofil Pieniążek, wł. dóbr Labowo; na zastępcę do komitetu Antoni Bieliński, wł. dóbr Buszkowice, Bidziny; na zastępcę do Dyrekcji głównej Marjan Arkuszewski, wł. dóbr Jakubów, Chruściechów, Ryki; na zastępców do Dyrekcji Szczegółowej Stanisław Rytel, wł. dóbr Mydłów i Józef hr. Plater, wł. dóbr Nieklań; na Prezesa przyszłych wyborów Adam Helbich, wł. dóbr Konary Radomskie. Na

zastępcę Prezesa Zygmunt Leszczyński, wł. dóbr Gołębiów, Kaliszany, Gołoszyce.

Na zebraniach powyższych Stowarzyszeń złożyli następujące wnioski:

1) O podniesienie radcom Komitetu, Dyrekcji Głównej, Dyrekcji Szczegółowej i delegatom taksowym wynagrodzenia za sprawowanie urzędu i czynności. 2) O zniesienie stosowanego dotychczas przez Dyrekcję Główną 1% obniżenia ogólnego szacunku dóbr za nieistniejące *de facto*, a nie wykreślone z ksiąg hipotecznych serwituty, jako nieusprawiedliwionego ustawą. 3) O uproszczenie rachunkowości, ewentualnie o powrót do dawnego systemu, gdyż obecny okazał się bardzo skomplikowany, i stowarzyszeni zniewoleni godzinami czekać na obliczenie należnych od nich rat. 4) O stosowanie podwyższenia za dokonane już i dobrze funkcjonujące melioracje łąk. 5) O zaniechanie w § 26 Instrukcji taksowej powoływania wójta gminy przy spisaniu protokołu o służebnościach *de facto* załatwionych, a nie wykreślonych z wykazów hipotecznych, gdyż połączone to jest z trudnościami, a delegat przysięgły w asystencji sołtysa i przedstawicieli dawnych uwłaszczonych może dostatecznie przekonać się o rzeczywistym stanie rzeczy. 6) O zmianę § 21 Instrukcji taksowej, aby czas do 1 listopada nie był prekluzyjnym dla delegatów taksowych, oraz o pozostawienie uznaniu delegata, czy warunki atmosferyczne są odpowiednie dla dopełnienia czynności klasyfikacji na gruncie. 7) O skasowanie obniżenia za brak opału, a wprowadzenie podwyższenia dobrom, które, prócz własnego opału, sprzedają drzewo, ponieważ jest to logiczne, wobec stosowanego dziś podwyższenia za eksploatację torfu na sprzedaż. 8) O przywrócenie podwyższeń z § 44 przepisów taksy dziś uchylonego, oraz za kulturę i drenowanie bez przedstawienia planów melioracyjnych, gdyż dzisiejsza instrukcja w roku 1911 obniżyła faktycznie szacunek dóbr najwartościowszych, a podwyższyła nieproporcjonalnie szacunek dóbr niższej wartości. 9) O zawiadomienie delegata taksowego o odbyć się mającej rewizji jego taksy i o wezwanie go chociażby bezpłatnie do asystowania przy tej czynności.

Najlepszą Tekturę Smółcową, Lak asfaltowy, Smół gazową, Krycie dachów z długoletnią gwarancją i Roboty asfaltowe

POLECA: Fabryka Tektury = STEFAN SOROKIEWICZ i S^{KA}
Smółcowej i Asfaltu

w Warszawie, Kantor: Szpitalna № 12 telef. 69-87, Fabryka: Okrąg № 6 telef. 70-87.

oooooooooooo Próby, kosztorysy i cenniki na żądanie wysyłamy bezzwłocznie. ooooooooooooo

BIURO MELIORACJI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddziały: WILNO, Plac Katedralny № 12 (dom Bogdanowicza), MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”, przedstawiciel inż. IWASZKIEWICZ.

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i Aparatów assenizacyjnych

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie

Biuro w Warszawie

ul. Hr. Berga 2

Kaliska kooperatywa rolna. Ogólne doroczne zebranie kooperatywy rolnej oddziału handlowego gub. Tow. rolniczego odbyło się w sali dyrekcyjnej dn. 29 kwietnia o godz. 11 przed południem. Obradom przewodniczył prezes Tow. rolniczego p. Ludomir Puławski, asesorami byli pp.: Karwaciński i Sulimierski, sekretarzem p. Jan Korycki.

Sprawozdanie za rok 1911 wykazało: kapitał obrotowy z udziałów członków: 73,216 rb., zapasowy kapitał 10,285 rb., rezerwowo 27,685 rb., w nieruchomościach i warsztatach 4,813 rb. Członków Tow. posiada 264, większość udziałów sturublowa.

Budżet na rok 1912 wynosi 27,320 rb.

Sprzedano towarów w centraln. kaliskiej i 9-ciu filjach za rb. 846,143 kop. 96. Koszta handlowe wyniosły rb. 27 049 kop. 59. Czysty zysk do podziału rb. 13,855 kop. 62. Bilans na dzień 1-go stycznia 1912 roku stanowił sumę rb. 382,328 kop. 94.

Ogólny obrót we wszystkich operacjach rb. 1,950,211 k. 24.

Sprzedż superfosfatów zwiększyła się w ciągu ostatnich lat 5-ciu o 99¹/₂, ogólna zaś sprzedaż o 100%, zapasy towarów o 120%, zysk netto o 60%.

Świetny swój rozwój oddział zawdzięcza gorliwej pracy zarządu, którego skład stanowią pp.: Feliks Dalewski (dyrektor), Seweryn Tymieniecki (wiceprezes), Ignacy Łaszczynski, Wacław Niemojowski, Wojciech Wyganowski i Stanisław Radowski, zastępcami pp.: Cheškowski, Gościmski i Puławski.

Na ustępujących dwu członków zarządu ponownie wybrano pp.: Wacława Niemojowskiego i Feliksa Wałęwskiego.

Praktyka rolnicza. Czynna przy wydziale rolniczym centralnego Tow. rolniczego komisja praktyki rolniczej zaczęła przyjmować podania na r. b.

Komisja prowadzi listę gospodarstw, które zobowiązały się przyjmować praktykantów na zasadzie regulaminu. Komisja wybiera też praktykantów, przyjmuje od nich sprawozdania, wystawia zaświadczenia z odbytych praktyk i załatwia nieporozumienia.

Kursy dla drobnych rolników. O rozwoju kursów rolniczych w ostatnich kilku latach świadczy fakt, że gdy w r. 1908, mimo liczne ogłoszenia i wezwania, na kurs im. Promyka przybyło zaledwie 12 słuchaczy w r. 1911 na kursach było 367 słuchaczy; w Pszczelinie na kursach 10-tygodniowych było 43, na 4-tygodniowych w Liskowie 57, w Brześciu kujawskim 46, w Lipnie 21, w Mięchowie 51, w Chruszczewie 21, w Łukowie 12, a w Lublinie (3 kursa) 116 słuchaczy. Prócz tego były kursa 5-miesięczne w Nałęczowie.

Na organizację kursów, urządzonych przez wydział kółek centralnego Tow. rolniczego wydatkowano 12,950 rb., czyli na jednego słuchacza średnio 35 rb. Zapisy na ten cel wynoszą około 200,000 rb. Zarząd dąży do tego, aby niezamożnych słuchaczy całkowicie uwalniać od opłaty.

Pokaz maszyn rolniczych w Wilanowie. Wydział rolniczy centr. Tow. rolniczego urządza w czerwcu pokaz nowszych maszyn i narzędzi rolniczych w Wilanowie pod Warszawą. W pokazie wezmą udział fabryki maszyn rolniczych, syndykaty rolnicze i składy maszyn i narzędzi.

Ś. p. Tadeusz Domański. W 38-ym roku życia zmarł ś. p. Tadeusz Domański, właściciel majątku Trzydnik, w gubernji lubelskiej.

Po ukończeniu studjum rolniczego w Krakowie, pozyskał tytuł doktora filozofji, był asystentem prof. Godlewskiego, następnie kształcił się jeszcze w Paryżu, aż wreszcie osiadł na roli, prowadząc rozległe gospodarstwo przemysłowo-rolne.

Zaufanie spółobywateli powołało go na stanowiska sędziego gminnego i prezesa Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Kraśniku.

Lubelskie Towarzystwo rolnicze utraciło w nim współpracownika, który świetnymi swemi odczytami pociągał licznych ziemian na zebrania, a cyklem wykładów o gorzelnictwie przyczynił się do rozszerzenia wiadomości fachowych.

Gruntowna wiedza, dar wymowy, zacny charakter jednaly ś. p. Domańskiemu zastępy przyjaciół, których przedwczesny zgon zasłużonego ziemianina pogrążył w szczerym smutku.

Wystawa koni. Terminy wystaw koni już oznaczono, są one następujące:

Błonie, d. 29-go b. m., dla koni wierzchowych, z nagrodami w sumie 450 rb., poza tem: 1 medal srebrny, 2 brązowe i 3 listy pochwalne.

Lublin, od dn. 5-go do 9-go czerwca, wielka wystawa z poważną sumą nagród. Asygnowały: warsz. Tow. wyścigów konnych rb. 4,000, główny zarząd stadnin państwowych rb. 5,000, Tow. lubelskie rb. 500, Tow. petersburskie wyśc. konnych rb. 2,500, ministerjum rolnictwa rb. 2,000 i minist. wojny na dział remontowy rb. 5,000.

Mazowieck d. 18-go, Ostrołęka dn. 20-go, Turek dwudniowa wielka wystawa gubernjalna dn. 24-go i 25-go, Mława dn. 25-go czerwca.

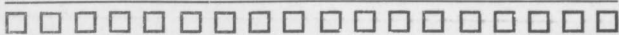
Radom d. 16-go, Ciechanów d. 17-go, osada Drobin (gub. płocka) d. 29-go, osada Kikoł (gub. płocka) d. 31-go sierpnia

Terminy pozostałych wystaw będą wkrótce ogłoszone; łączą się one z marszrutą remontową.

Urodzaj tegoroczny. Z różnych stron kraju napływają wieści niepokojące, z powodu panujących chłódów i przymrozków, które zwarzyły rozwijającą się bujnie roślinność. W wielu miejscowościach rzepaki przepadły. Żyto, rokuje słabszy urodzaj niż lat zeszłych — pszenica nie ziściła nadziei. Na drzewach owocowych skutki chłódów odbiły się nader niekorzystnie. Owoce delikatne, jak morele i brzoskwinie, przepadną zupełnie, śliwy i czereśnie bardzo ucierpiały. Lepiej tylko zapowiadają się grusze i jabłonie.

**DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.**

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.



TREŚĆ Nr 6.

Od Wydawnictwa. — Miesiąc sportowy. — Wieś i sport. — Sonety Wołyńskie, Ala Rosé. — Polska hodowla koni pełnej krwi, Old. Tom. — Stado „Wrząca Wielka”. — Na podloty, Kniejowy. — Bolesław Prus, K. Tetmajera. — Chotów, p. Eres. — Róże, Bożymir. — Sianokosy, p. S. — Bijata, Marja Kaczkowska. — Tułacze, p. Mr. — Gdzie przyczyna? J. Ostoja. — Ostatnia piędź, Edward Słoński. — Przegląd teatralny p. Nick. — Iks, przez O. — Hotel angielski. — Z dziedziny kosmetyki i higieny. — „Ceres” w Lipsku. — Prywatne gimnazjum Realne w Zakopanem. — Bibliografia. — Kronika wiejska. — Ogłoszenia.

